



W ochronce Sióstr Miłosierdzia.

Stowarzyszenie św. Dzieciństwa.

Z powodu pięćdziesięcioletniego jubileuszu w ubiegłym roku.
(1843—1893).

—CIV—

Znanym powszechnie jest niezwykle prąd, jaki około r. 1212 za czasów Wielkiego Papieża Innocentego III, ogarnął diatwę chrześcijańską i popchnął ją do tak zuchwałego przedsięwzięcia, jakim była tak zwana dziecięca krucjata. Utworzyła się ona z inicjatywy francuskiego pasterza Stefana, szlachetny zaś zapal małych krzyżowców ogarnął niebawem i inne kraje, tak, że naprzykład w samych tylko Niemczech przeszło 20.000 chłopców stanęło pod rozkazami swego dowódcy, dziesięcioletniego Mikołaja.

Było to piękne, ale fantastyczne dziecięce marzenie, po którym niestety nader smutne rozczarowanie niebawem nastąpiło.

Takież sam prąd, którego celem, jak i wówczas, jest działalność w odległych krajach, objawił się również i w naszym wieku, gdy diatwa katolicka złączyła się jakby w ogromne wojsko, liczące w swych szeregach całe setki tysięcy młodocianych rycerzy. Tym razem jednak dowódcą nowych małych krzyżowców jest już

nie egzaltowany pastuszek, wiodący ich do zguby, ale Dzieciątko Boże z Betleemu. Ono też jest chorążym, niosącym przed gronem młodych rycerzy piękny i chwalebny swój sztandar, hasłem zaś nowożytnych krzyżowców i pieśnią ich bojową są następujące słowa:

Pod Twym sztandarem przez życie całe
Chcę walczyć, Jezu, na Twoją chwałę.

W przeciągu lat kilkudziesięciu, młodociana armia, znana pod nazwą Stowarzyszenia św. Dzieciństwa, zdumiewające odniosła zwycięstwa i nietylko w marzeniach, ale w rzeczywistości wielkich za morzem dokonała podbojów.

Wiadomo powszechnie, że już od wieków istnieje w Chinach barbarzyński zwyczaj, którego ofiarą padają corocznie tysiące, a nawet setki tysięcy niewinnych niemowląt. Smutny ten fakt musiał naturalnie od samego początku zwrócić na siebie uwagę katolickich misjonarzy, którzy nie mogli obojętnym okiem patrzeć na takie okrucieństwo.

Wiara katolicka nas uczy, że dzieci umierające bez Chrztu, a zatem w grzechu pierworodnym, zostają na wieki pozbawione szczęścia oglądania Boga. Chrztst więc nieszczęśliwych tych istot jest olbrzymiem, niewysłowionem dobrodziejstwem, dzięki któremu miliony

aniołków dostają się do nieba. Dla tej więc przyczyny, najdawniejsi misyjonarze w Chinach, a mianowicie Ojcowie naszego Zakonu w pięknych i kwitnących niegdyś missyach, nankińskiej i pekińskiej, Dominikanie zaś na wyspie Amoy i w Fo-Kienie, otoczyli ojcowską pieczę biedne pogańskie dzieci, starając się zarazem w sercach swych neofitów obudzić dla nich litość i współczucie. O. G. Palâtres napisał nawet o tem ogromne i wyczerpujące dzieło, któreby słusznie można było nazwać prologiem do historii Stowarzyszenia św. Dzieciństwa.

Pomimo jednak szeregu współczucia względem biednych dzieci, którego w powyższym dziele liczne znajdujemy rysy, wyniki tej działalności nader smutno się przedstawiały.

»Wprawdzie każdego roku, pisał w r. 1720 Ojciec d'Entrecolles z Pekinu, w stolicy Niebieskiego Państwa, przynajmniej od 5 do 6 tysięcy nieszczęśliwych podrzutków otrzymuje Chrystus, ale czemuż to jest w porównaniu do milionów, okropną ginących śmierci?»

We wszystkich też niemal listach ówczesnych misyjonarzy dźwięczy bolesna skarga z powodu, że brak środków nie pozwala im rozszerzyć i ulepszyć pola tak zacnej działalności. Atoli już i wówczas, zarówno w Chinach, jak w Europie istnieli szlachetni, wspaniałomyślni dobroczyńcy, którzy biednej diatwie pogańskiej wiele świadczyli dobrego.

Tak na przykład, dawne listy misyjonarzy opowiadają nam o pewnej zamożnej Chińce, imieniem Kandyda Hiu, która całe swe mienie, a nawet życie poświęciła nieszczęśliwym tym istotkom, oraz o pewnym bogatym chrześcijańskim mandarynie Piotrze Tong, który zamienił swój pałac na prawdziwy dom sierót i sam zbierał na ulicach opuszczone niemowlęta, okropnymi okryte ranami, aby je następnie z ojcowską troskliwością wychowywać i pielęgnować. Czytamy tam również wiele wzniosłych szczegółów o pewnym gorliwym chrześcijańskim lekarzu, który sam ochrzcił przeszło 8000 nieszczęśliwych podrzutków, jak również mnóstwo innych podobnych przykładów.

Z drugiej strony sprawozdania misyjne każą nam się domyślać, że dawniej chińscy misyjonarze utrzymywali nader ożywioną korespondencję z biskupami, praelatami, oraz zamożnymi osobami świeckimi w Europie, które już wówczas opuszczonej diatwie pogańskiej wielkie okazywały współczucie. Między innemi świadczą o tem listy O. Bahr'a z naszego Zakonu do hr. Maryi Teresy von Fugger, pisane w r. 1740, a ogłoszone następnie w czasopiśmie *N. Weltbote* (Tom IV, Nr. 630).

Piękne to jednak pole działalności uprawiane było tylko przez pojedyncze osoby, nikomu zaś jeszcze nie przyszło na myśl pozyskać dla tak wzniosłej sprawy drobną chrześcijańską diatwę w naszej części świata. Dopiero przy końcu zeszłego stulecia w wielkiej zachodniej prowincji chińskiej Se-Czuenie, rozwinięto w pośród

ubogiej miejscowej ludności nader gorliwą akcyę w tym kierunku. Tak zwane grono chrzcicieli, zorganizowane pierwotnie przez gorliwego X. Moya ze Stowarzyszenia Missyj zagranicznych, oddało wówczas ludzkości niezaprzeczone usługi. Pomiędzy r. 1771 a 1800 w Se-Czuenie, Jun-Nanie i Kui-Czeu, jak to widzimy ze statystycznych sprawozdań paryzkiego misyjnego seminarium, ochrzczono więcej jak 71.914 podrzutków.

»Dziś jednak jeszcze — uskarża się X. biskup Pottier, wikaryusz apostolski Se-Czuenu (1769—1792) — corocznie w tych trzech prowincjach pomimo wszelkich naszych usiłowań, umierają całe setki tysięcy dzieci, które nigdy Pana Boga nie będą oglądały. O! gdybyśmy choć dziesiątą część tych nieszczęśliwych ocalić zdołali! Mając rocznie od 400—500 liwrów, możnaby tu prawdziwych dokonać cudów«.

Tymczasem w starej Europie zaszły olbrzymie polityczno-społeczne zmiany, gdyż rewolucya jak gwałtowny orkan, rozmaite nawiedzała kraje. Słusznie jednak powiada przysłowie, iż niema złego, coby na dobre nie wyszło. Po okropnych społecznych przewrotach z końcem XVIII i w początkach XIX wieku nowe zbudziło się życie i jak na wiosnę różnobarwne kwiaty, tak też i wówczas rozmaite religijne stowarzyszenia i kongregacye zaczęły kiełkować, rozwijać się i kwitnąć.

Wszystkie te stowarzyszenia, pełne świeżych, młodzięcych sił żywotnych, sprzyjały naturalnie całemu sercem katolickiemu apostolstwu, któremu zniesienie naszego Zakonu tak silny cios zadało, i które dopiero w pierwszym lat dziesiątku naszego stulecia zaczęło kroczyć szybciej na drodze rozwoju.

»Na początku XIX wieku — pisze O. Palâtres — Europa nie myślała prawie o missyach na krańcach Wschodu. Całkowitą uwagę ogółu pochłaniały współczesne polityczne wypadki, nieliczne zaś wiadomości, jakie od czasu do czasu nadchodziły do Europy z Chin, Kochinchiny i Tonkinu, rozchodziły się tylko w nader ciasnem kole czytelników i szybko się zapominały. Ale Bóg nie zapominał o gorliwych swych pracownikach, owszem stopniowo przygotowywał drogi i środki do rozwoju missyj. W r. 1818 wyszły we Francyi z pod prasy *Nouvelles lettres édifiantes*, wkrótce zaś potem wyborny organ Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary, założonego w Lyonie w r. 1822 i znanego również pod nazwą Stowarzyszenia św. Franciszka Ksawerego, a mianowicie *Roczniki rozkrzewiania wiary* spopularyzowały działalność misyjonarzy w jak najszerzych kołach społeczeństwa. Zaczęły one wychodzić we wszystkich europejskich językach, prenumeratorem zaś ich rekrutowali się przeważnie z średnich warstw ludności, które do tychczas o wielkiem dziele rozkrzewiania wiary żadnego niemal nie miały pojęcia. Odtąd ludność miejska i wiejska czytała chciwie wzniosłe i rozrzucające korespondencye misyjonarzy, które pod wielu względami przy-

pominały czasy pierwszych chrześcijan i męczenników. Z każdym też rokiem wzrastało współczucie dla misyj zagranicznych, a zarazem płynęły coraz obfitsze datki na budżet apostołstwa.

Z listów też misyjonarzy dowiedziała się katolicka Europa o tem, że corocznie w Chinach całe setki tysięcy dzieci na śmierć okropną bywają skazane. Jakież chrześcijańskie serce mogłoby słuchać obojętnie o tak smutnym losie niewinnych ofiar? Największe jednak współczucie musiał on obudzić w sercu katolickiej diatywy, należało więc tylko rozniecić tlejącą iskierkę, aby szlachetne popędy dziecięcych dusz skierować do praktycznego celu, oraz do urzeczywistnienia wzniosłej i pięknej idei.

Zadania tego podjęło się właśnie Stowarzyszenie św. Dzieciństwa, którego założenie jest główną zasługą nieodżałowanego biskupa z Nancy, X. Karola Augusta Marya Józefa de Forbin-Janson (ur. dnia 3 listopada 1785 r. w Paryżu, † dnia 11 lipca 1844 r. w Aygalades pod Marsylią).

Młody hrabia de Forbin-Janson, pochodził ze starej szlacheckiej rodziny, która podczas wielkiej rewolucji opuściła Francję, ale za czasów Napoleona I wróciła znowu do ojczyzny. Z początku poświęcił się on zawodowi dyplomatycznemu, w 24-tym jednak roku życia wstąpił do seminarium św. Sulpicyusza, a w 14 lat później został mianowany biskupem Nancy. Rozruchy ludowe z r. 1830 zmusiły go do ucieczki; udał się więc do Ameryki i w Stanach Zjednoczonych, a następnie w Kanadzie pracował przez lat kilka jako gorliwy misyjonarz. Tam właśnie przyszła mu pierwsza myśl założenia Stowarzyszenia, któreby w skuteczniejszy niż dotąd sposób, zdołało zapobiedz smutnemu losowi biednych chińskich podrzutek. Zamiary swoje wyłuszczył między innymi zacnej i pobożnej Paulinie Jaricot, znanej ze swego współczucia dla cierpiących bliźnich i jej to właśnie przypisać należy pierwotną inicjatywę Stowarzyszenia św. Dzieciństwa.

Gdy w r. 1842 będąc przykuta chorobą do łóża boleści, rozmyślała nad przedsięwzięciem gorliwego biskupa, nagle przyszło jej na myśl: Dlaczego dzieci europejskie nie miałyby w szczególny sposób pospieszyć z pomocą biednym swym braciom i siostrzyczkom w Chinach?

Również czyżby i dorośli nie zechcieli ofiarować każdego miesiąca niewielkiej kwoty na ocalenie nieszczęśliwych istot, im niebo otworzyć, albo przygotować na Apostołów? Dlaczego więc nie miałyby powstać Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary, przeznaczone wyłącznie dla pogańskich dzieci? Należy przyznać, że był to plan nader prosty, chociaż trudny do wykonania, który właśnie może z powodu swej prostoty nie przyszedł na myśl zacnemu biskupowi. Niezwłocznie jednak postanowił on zamienić w czyn szlachetny pomysł biednej

chorej, którą należałoby uważać za właściwą założycielkę Stowarzyszenia św. Dzieciństwa.

X. biskup de Janson żywił zawsze głęboką cześć względem błogosławionego Perboyre, który na parę lat przedtem otrzymał w Chinach palmę męczeństwa. Przedewszystkiem więc udał się do klasztoru Lazarystów, gdzie brat Błogosławionego, Józef Perboyre odbywał właśnie nowicyat i prosił go, aby w swych modłach polecił gorąco bohaterskiemu wyznawcy przyszłość nowego Stowarzyszenia. Tytułową kartę pierwszego okólnika Stowarzyszenia ozdobił portret błogosławionego Perboyre'a. Każdą razą, gdy młodzi współbracia męczennika odwiedzali czcigodnego prałata, aby się z nim pożegnać przed wyjazdem do Chin, wówczas X. biskup Janson zwykł był do nich mawiać: »Jedźcie, moi kochani, ale nie zapomnijcie ochrzcić przynajmniej sto tysięcy malutkich Chińczyków«.

W kilka lat potem z pomocą X. Jammes, który od lat wielu był jego przyjacielem i powiernikiem, X. biskup Janson ułożył statut, prospekta i okólniki i nieoprzestając na wysłaniu ich do Francji, Anglii, Niemiec, Włoch, oraz Holandii, sam w r. 1843 przedsięwziął podróż po Europie, przemawiając wszędzie z młodzieńczym zapałem na korzyść przyszłej dziecięcej krucjaty. Niepospolita jego wymowa, niezwykła popularność, oraz głęboki szacunek, jakim wszędzie się cieszył, przyczyniły się niemało do rozwoju założonego przezeń Stowarzyszenia, które wówczas było jeszcze w kolebce.

Najprzód przez Rouen i Cambray, pospieszył X. biskup Janson do Belgii. Tam znalazł gorliwego sprzymierzeńca w świeżo przybyłym nuncjuszu papieskim, który mu dał listy polecające do wszystkich belgijskich biskupów.

»Każdy, kto pozna cel tego Stowarzyszenia — głosili powyższe listy — musi powziąć dla niego współczucie i sympatię... Co do mnie, to poczytuję sobie za szczęście, że mogę choć trochę się przyczynić do rozwoju tak pięknej działalności i osiągnięcia wzniosłego celu, jaki jej przyświeca...«

Nuncyuszem tym był X. biskup Joachim Pecci, który później już jako Papież szczęśliwie nam panujący, polecał tak gorąco katolickiemu światu Stowarzyszenie św. Dzieciństwa.

Pomiędzy belgijskimi dziećmi, jakie się wówczas zapisały na liście Stowarzyszenia, znajdował się też dziesięcioletni król Leopold II wraz ze swym bratem Filipem i siostrą Karoliną.

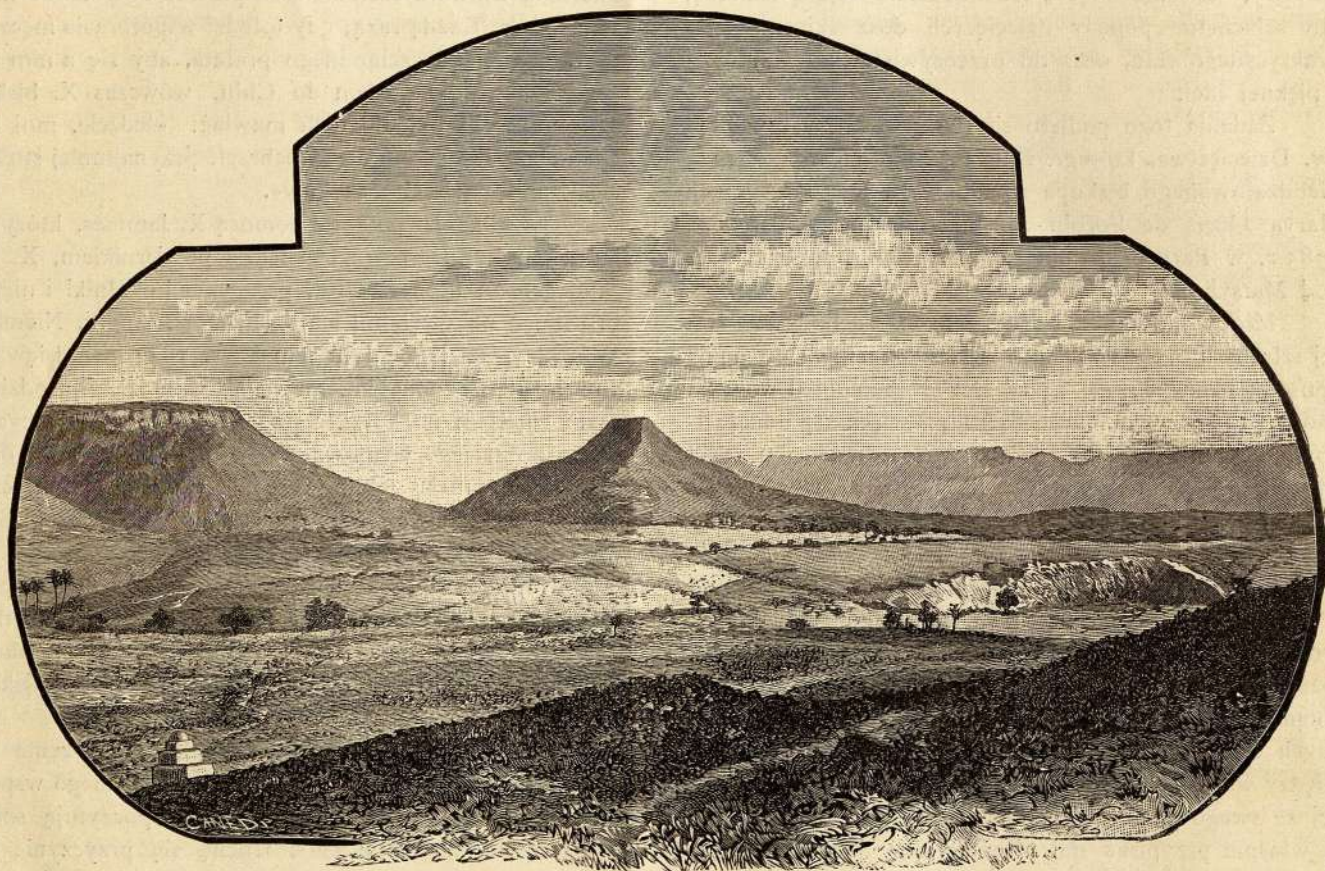
Z Belgii X. biskup Janson powrócił do Francji, ale niebawem zbyt gorliwa praca wyczerpała wiatr jego siły i zmusiła przenieść się na południe. Gdy jednak pewnego razu znalazł się w Marsylii i wygłosił z zapałem kazanie, które trwało przeszło półtorej godziny, wówczas stan jego zdrowia znacznie się pogorszył i gorliwy pasterz dostał silnego krwotoku, który niebawem

wpędził go do grobu. Do ostatniej jednak chwili życia X. biskup Janson troszczył się o Stowarzyszenie, którego był założycielem, wydając rozmaite ustne i piśmienne polecenia, niezbędne dla jego rozwoju.

Po zgonie X. biskupa Jansona, wiódł dalej jego dzieło X. Jammes, który przez lat 12 był pierwszym dyrektorem Stowarzyszenia św. Dzieciństwa, wydokonał jego organizację i czuwał nad pierwszymi krokami młodzieżowej krucjaty.

Z początku nowe Stowarzyszenie napotkało w naj-

szerszych warstwach społeczeństwa wielu zaciętych przeciwników, którzy sądzili, iż wyrządzi ono uszczerbek starszemu od siebie Stowarzyszeniu rozkrzewiania wiary. Wkrótce atoli przekonano się, jak mylnem było to zdanie. Gdy zaś Papież Grzegorz XVI i Pius IX zaszczylili to piękne przedsięwzięcie wyrazami uznania i zachęty, oraz gdy znalazło ono gorliwego protektora w osobie kardynała v. Reisach'a, wtedy wielka część katolickiej dziatwy zebrała się pod sztandarem Boskiego Dzieciątka Jezus.



Tunetania. — Pogranicza Sahary. Widok z Duiretu; podług fotografii. (Zob. str. 120).

Dzisiaj w Rocznikach Stowarzyszenia św. Dzieciństwa, obok datków ofiarowanych przez polskie, francuskie, niemieckie, holenderskie i amerykańskie dzieci, mieszczą się też jałmużny ich czarnych, brunatnych lub żółtych braciszków i siostrzyczek z Indyj, Afryki, Oceanii i t. d. Wszystkie te dzieci składają każdego miesiąca na cześć Dzieciątka Jezus drobne ofiary, wynoszące po parę centów od osoby i codziennie z miliona niewinnych ust wznosi się ku niebu modlitwa Stowarzyszenia: »Najświętsza Maryo Panno, módl się za nami i za biednymi pogańskimi dziećmi!«

Ziarnko gorczyczne urosło w wielkie i wspaniałe drzewo — Stowarzyszenie dziecięce stało się potęgą,

na którą już liczyć można, jak to ujrzymy niebawem ze statystycznych cyfr.

W czerwcu 1843 r. Rada nadzorcza Stowarzyszenia, powołana do życia przez jego założyciela, odbyła pierwsze posiedzenie w Paryżu, w przeciągu zaś tegoż samego roku uzbierano już 22.900 franków. W r. 1855 budżet Stowarzyszenia wynosił milion franków. Rok 1872 przyniósł 2,113.728 franków, rok 1881: 3,199.000 franków, a rok 1891: 3,516.245 franków. W przeciągu lat 49 od r. 1843 do 1891 ogólna suma corocznych dochodów Stowarzyszenia, doszła do 82,600.000 franków, czyli przeszło 40,500.000 złr. Oto owoc oszczędności chrześcijańskiej dziatwy!

Zobaczmy teraz, jaki pożytek przyniosły drobne składki stowarzyszonych. Od chwili założenia Stowarzyszenia św. Dzieciństwa do r. 1891 ochrzczono 12 milionów dzieci, w roku zaś 1891 ilość małych neofitów wynosiła 441.535 dzieci, z których 145.403 żyje i wychowuje się w rozmaitych missyach. Nadto z funduszków Stowarzyszenia łożono na koszt założenia i utrzymywania 661 ochronek, 3418 szkół, 896 aptek dla ubogich i 297 warsztatów rzemieślniczych, a nawet udzielono wsparcia 153 missyom katolickim na całym świecie.

W wielu miejscowościach missyjonarze założyli całe wioski, zaludnione wyłącznie przez chrześcijańskie rodziny, których wszyscy członkowie w missyach się wychowywali.

Z ogromnego przytuliska dla sierót, utrzymywanego przez Ojców naszego Zakonu w Zi-ka-wei (Kiang-Nan), wyszło od r. 1850 do 1877 około 420 sierót, a mianowicie 13 drukarzy, 11 rytowników, 9 rzeźbiarzy, 12 malarzy, 16 lakierników, 40 szewców, 44 krawców, 26 fryzyerów, 49 stolarzy, 10 cieśli, 3 tokarzy, 2 bedna-



Tunetania. — Rodzina z plemienia Akarów w Zarzisie; podług fotografii. (Zob. str. 151 i nast.).

rzy, 9 czeladników z rozmaitych rzemiosł, 23 wyrobników, 64 służących i 4 nauczycieli, a 84 dzieci przyjęły tamtejsze chrześcijańskie rodziny pod swoją opiekę. Nie mamy niestety pod ręką późniejszych rejestrów tego zakładu, które jeszcze okazały się przedstawiają.

Należy też dodać, że wiele podrzutek, wychowywanych w ochronkach Stowarzyszenia, zostało później kapłanami lub zakonnikami. Tak na przykład, 23 młode Chinki z przytuliska Sióstr od św. Pawła z Hon-kongu wstąpiły w ostatnich latach do nowicyatu w Sajgonie.

Stosownie do zamiarów swego założyciela, Stowarzyszenie św. Dzieciństwa otoczyło przede wszystkim swoją opieką nieszczęśliwą dźwiatwę chińską, rozwijając

na terytoryum Chin jak najgorliwszą działalność. Gdy jednak w miarę coraz większego rozwoju missyi, otworzyła się dla missyjnej działalności zapoznana dotąd Afryka i gdy do uszu europejskiej dźwiatwy doszedł bolesny okrzyk niezliczonych dzieci murzyńskich: »Biały, wykup mię z niewoli«, wówczas i zakres pracy Stowarzyszenia stopniowo zaczął się rozszerzać.

W danej chwili, jak to wskazują sprawozdania z r. 1891 i 1892, wspiera ono wszystkie niemal missye katolickie na całym świecie; najlepsze zaś o tem pojęcie może dać czytelnikom następująca tablica, umieszczona w zeszłorocznym sprawozdaniu Stowarzyszenia.

Wykaz rozmaitych misyj wspieranych przez Stowarzyszenie św. Dzieciństwa w latach 1891 i 1892.

STOWARZYSZENIA MISSYJNE	Ilość misyj wspieranych przez Stowarzyszenie	Ochronki	Szkoły	Warsztaty rzemieślnicze	Osady rolne	Apteki dla ubogich	Dzieci		Jałmużna we frankach udzielona przez Stowarzy- szenie
							Ochrzczone	Wychowy- wane	
Lazaryści	11	41	190	33	3	45	67.014	11.412	332.000
Jezuici	12	124	1323	22	3	248	75.824	40.609	486.000
Seminaryum Misyj zagranicznych paryzkich .	42	210	904	65	15	263	183.210	44.619	1.167.000
Kongregacya Ducha św. i Najśw. Serca Maryi	12	49	81	71	30	64	2.372	5.085	223.133
Kongregacya Oblatów Niepokalanego Poczęcia	8	17	163	4	3	6	1.771	5.071	64.000
Kongregacya Misyj zagranicz. w Medyolanie	3	22	117	10	4	42	11.813	3.209	89.000
Franciszkanie	14	28	213	31	4	20	56.818	11.356	256.000
Dominikanie (hiszpańscy)	5	39	6	31	4	89	51.032	4.902	73.000
Rozmaite Stowarzyszenia misyjne	46	113	421	61	46	119	31.681	19.140	397.200
Suma ogólna	153	661	3418	297	108	896	481.535	145.403	3.087.333

Zamiast szkodzić starszemu od siebie Stowarzyszeniu rozkrzewiania wiary, znanemu również pod nazwą Stowarzyszenia św. Franciszka Ksawerego, młodsze od niego Stowarzyszenie św. Dzieciństwa, przyczyniło się jeszcze do jego rozwoju.

W r. 1843 Stowarzyszenie rozkrzewiania wiary miało 3,562.088 franków dochodu, w roku zaś 1891 budżet jego wynosił już 6,694.487. Nadwyżkę tę należy w znacznej części przypisać niezaprzeczonemu faktowi, że członkowie Stowarzyszenia Dzieciątka Jezus, wstępują zwykle później do Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary.

W taki sposób sprawdzają się słowa Papieża Piusa IX, skreślone w Brewe z dnia 18 lipca 1856 r. »Stowarzyszenie św. Dzieciństwa — pisał ten Ojciec św. — budząc w dziecięcych sercach isierkę chrześcijańskiej wiary i miłości bliźniego, umie je zarazem natchnąć gorliwością o zbawienie dusz i rozkrzewienie światła prawdziwej religii, tak, że w późniejszym wieku wstępują one tem chętniej do grona członków Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary«.

Rzeczywiście, w chwili obecnej największe współczucie i ofiarność dla misyj zagranicznych w tych właśnie objawia się krajach, gdzie Stowarzyszenie świętego Dzieciństwa najbardziej zdołało się rozwinąć.

Niejednokrotnie już próbowano wbrew pierwotnej zasadniczej idei Stowarzyszenia św. Dzieciństwa, obracać pewną część jego dochodów na inne pobożne cele. Bogu dzięki jednak próby te nigdy jeszcze pomyślnym nie uwieńczyły się wynikiem. Rzeczywiście przewodnia myśl założyciela, aby za pośrednictwem dziatwy chrześcijańskiej ratować dzieci pogańskie, nie tylko jest najodpowiedniejszą dla młodocianych członków Stowarzyszenia, ale zarazem dąży do tak ważnego i wielkiego

celu, że warto, aby choć jedno stowarzyszenie poświęciło się wyłącznie jego osiągnięciu.

Każdy, kto wie, jak nieszczęśliwym jest dziecię nie tylko w Chinach lub Afryce, ale we wszystkich pogańskich krajach wogółności, z pewnością przyzna nam słusność. Ile usług oddało Stowarzyszenie Kościołowi i jego misyjom, pięćdziesięcioletnia działalność przemawia wyraźnie na jego korzyść i mogłaby dostarczyć treści do ogromnego dzieła, któreby niewątpliwie obfitowało w rysy wzniosłej ofiarności i rozrzucającego poświęcenia.

Przeczytajmy tylko listy misjonarzy, a zobaczymy, z jakim uznaniem wyrażają się oni o doniosłości i pożytku tego tak sympatycznego Stowarzyszenia. Niejednokrotnie wspominają, że wszystkim jego pracom i przedsięwzięciom towarzyszy widoczne błogosławieństwo Boże. Przedewszystkiem da się to powiedzieć o licznych ochronkach i połączonych z nimi zakładach wychowawczych, utrzymywanych niemal wyłącznie z funduszy Stowarzyszenia. Jeżeli dorośli neofici spędziwszy większą część życia w pogaństwie, z trudnością chrześcijańskiemu ulegają wpływowi, to z drugiej strony biedne sieroty i podzutki, wychowywane w tych zakładach, oddychają od lat najmłodszych czystą i zdrową atmosferą moralną, dzięki której zasady religijne i etyczne tem głębsze w sercach zapuszczają korzenie. Nic więc dziwnego, że chwalebnie nam panujący Papież Leon XIII nie omieszkał podczas swego pięćdziesięcioletniego jubileuszu zaszczyścić Stowarzyszenie św. Dzieciństwa nowym dowodem uznania, potwierdzając w swem Brewe z dnia 3 lutego r. b. wszystkie udzielone mu dotychczas łaski i przywileje.

Nie powinniśmy również zapominać, że wstąpienie dzieci katolickich do Stowarzyszenia, przynosi im

samym nie mały pożytek. Z jednej strony biorą one udział w bogatej skarbnicy łask Stowarzyszenia, a zwłaszcza odpustach i Mszach świętych, odprawianych podług statutu, na intencję wszystkich młodych członków, a zwłaszcza tych, którzy się przygotowują do pierwszej Komunii. Z drugiej zaś strony przewodnia myśl Stowarzyszenia, oraz przyłączenie się do niego za pośrednictwem modlitwy i jałmużny, stanowi dla serca dziecięcia prawdziwą szkołę miłości Boga i bliźniego.

Prześlicznie mówi o tem Paulina Marya Jaricot, współzałożycielka Stowarzyszenia, w liście skreślonym w r. 1851 do wszystkich chrześcijańskich matek, w którym stara się wykazać korzystny wpływ Stowarzyszenia na wychowanie chrześcijańskich dzieci. Takie same poglądy wyraził X. Parisis, biskup z Langres, trzeci z kolei prezes Stowarzyszenia św. Dzieciństwa. »Nie da się zaprzeczyć — mówił on między innemi — że cnota jest pewnym rodzajem nawyknienia, którego się nabywa przez ciągłe powtarzanie dobrego uczynku, w dziecięcych zwłaszcza latach. Dlatego też dziecię, dając z polecenia matki jałmużnę ubogiemu, przyzwyczajają się nieznacznie do czynienia dobrze swym bliźnim; odmawiając zaś codziennie na klęczkach ze złożonymi rączkami niezrozumiałe jeszcze dla siebie modlitwy, zaprawia się stopniowo do pobożnego i bogobożnego życia. Wypływa ztąd wniosek, że jeżeli dziecię każdego miesiąca ofiaruje pewną częśćkę oszczędzonych przez siebie pieniędzy na korzyść biednych opuszczonych dzieci pogańskich, wówczas stopniowo zaczęną się budzić i rozwijać w jego duszy zasady wiary świętej wraz z uczuciami chrześcijańskiej miłości bliźniego, które w smutnych naszych czasach, zarażonych jadem bezwyznaniowości, tem większą posiadają wartość. Nieznacznie też takie dziecię przyswoi sobie wzniosłą naukę o obcowaniu Świętych, podług której bardziej uposażona część ludzkości zaopatruje duchowne potrzeby mniej szczęśliwych swych braci, wszystkie zaś ludy, zdala od przesądów i uprzedzeń, łączą się w miłości i prawdzie w jedną wielką rodzinę«.

Zresztą dzieci należące do Stowarzyszenia, uczą się lepiej cenić tak wielkie szczęście, jakim jest znajomość prawdziwej wiary i opieka dobrych, chrześcijańskich rodziców, odmawiając zaś sobie z miłości dla drugich jakichkolwiek rozrywek lub przyjemności, ćwiczą się w pięknej cnocie miłosierdzia i poświęcenia, którego tak rozrzewniające przykłady znajdujemy od czasu do czasu w *Rocznikach* Stowarzyszenia św. Dzieciństwa.

»Wreszcie — dodaje tenże sam biskup — dzieci chrześcijańskie mogą być pewne, że biedni ich braciszczkowie, ocaleni za ich pomocą, będą się za nie modlili, jako za największych swoich dobroczyńców. Z drugiej zaś strony mają one zapewnione modlitwy mnóstwa zmarłych niemowląt, które dzięki ich jałmużnom, otrzymały przed śmiercią Chrzest św. i dostały się do nieba«.

Oby te słowa spopularyzowały piękne Stowarzy-

szenie św. Dzieciństwa w tych zwłaszcza warstwach ludności, w których dotąd za mało było ono znanem, we wszystkich zaś niewinnych dziecięcych sercach obudziły szlachetną chęć przyłożenia się do rozkrzewiania Królestwa Bożego na ziemi!..

Z Kartaginy do Sahary,

przez X. M. Bauron'a.

(Dokończenie).

X.

Ze strategicznego punktu widzenia Fum-Tatahuin jest nader ważnym posterunkiem, z którego można czuć zarówno nad Saharą, jak nad trypolitańską granicą. Ponieważ mógłby się stać z łatwością ogniskiem dość znacznego handlu, dlatego też pp. Keck i Rebillet ustanowili tam oddawna tygodniowe jarmarki.

Do posterunku tego koczownicy chętnie się zjeżdżają. Dlatego też należałoby życzyć, aby parę domów handlowych założyło w pobliżu obozu biura i filie, w których krajowcy mogliby znaleźć rozmaite tkaniny i narzędzia, biura zaś takie ułatwiłyby im zarazem sprzedaż ich własnych towarów. Wówczas też Berberowie z Duiretu nie potrzebowaliby wysyłać karawan do Ghadamesu i Rhattu, przedmioty zaś wyrabiane w Sudanie, oraz niektóre materiały surowe, jak naprzykład skóry, piasek złoty, bawełna i t. p., byłyby przywożone wprost do Fumu, a ztamtąd do Zarzisu. Nie ulega wątpliwości, że wkrótce miasto to, mające wyborny port, daleko lepszy od Gabeskiego, stałoby się ogniskiem ożywionego handlu pomiędzy Tunetanią a Saharą.

Pierwszego dnia po przybyciu, zasiadam przy stole p. Keck'a w towarzystwie kilku oficerów. Długa jazda konna tak mię znużyła, że jak głodny pokarmu, tak ja pragnę wypoczynku, ale gwałtowny wiatr, wiejący od strony wąwozu, wstrząsa domem tak silnie, iż zdaje mi się, że się kołyszę na pokładzie statku. Wiatr taki zrywa się tam codziennie po zachodzie słońca i dopiero o świcie uspakajając się zaczyna.

Nazajutrz rano zwiedzam obóz, a ponieważ z powodu braku kaplicy, ołtarza i ornamentów kościelnych, nie mogę odprawić Mszy świętej, idę więc na cmentarz, aby się pomodlić na grobach pocziwych żołnierzy. Padli oni ofiarą podzwrotnikowej febry, zdala od rodzin i pozbawieni wszelkiej religijnej pomocy, której bardzo pragnęli. Po pogrzebie ich dopiero nadjechał X. Ravul, aby wodą święconą pokropić groby zmarłych, żyjącym zaś dodać otuchy. Towarzysze broni wyciosali następnie skromne, drewniane krzyże, które postawili na mogiłach tych nieszczęśliwych, wypisawszy tam poprzednio imiona ich i nazwiska.

Na pobliskiej skale spostrzegam chrześcijańskie godła, niezbyt kształtnie wykute, oraz noszące widoczne

ślady bardzo dawnego pochodzenia. Przypatrzywszy się dokładnie całej okolicy, dochodzę do przekonania, że od najdawniejszych czasów, wawóz ten wraz z piętrzącymi się nad nim stokami, był daleko bardziej zaludnionym, niż obecnie, czego zwaliska *ksurów* wymownym są dowodem. W okolicy tej, a może nawet na temsamym miejscu, gdzie obecnie się znajduję, istniał kiedyś kościół, miasto, a nawet prawdopodobnie biskupstwo.

Powoli skwar słoneczny, coraz bardziej dający się uczuwać, zmusza mię wbrew mojej woli do powrotu. Aby dotrzeć do obozu, muszę przejść około bagniska, z którego gnijących wód wydzielają się wstrętne miazmata. Staram się przebyć jak najprędzej niezdrową tę miejscowość, chociaż przechadzka ta pod palącymi promieniami słońca niezmiernie mię znużyła. Jednocześnie uczuвам potrzebę starannego osłonięcia głowy, gdyż silne działanie promieni słonecznych, mogłoby wywołać w przeciągu kilku minut zapalenie mózgu, a zarazem zaczynam pojmować, że praca na słońcu w tej miejscowości musi być dla zesłanych za wykroczenia żołnierzy straszną i okropną karą.

Wszyscy oficerowie miejscowej załogi spożywają razem posiłek, przyczem każdy musi z kolei obmyśleć *menu* obiadowe. Sala jadalna służy jednocześnie za bibliotekę i czytelnię. Po obiedzie uprzejmi gospodarze proponują mi wycieczkę do Ksaru w Beni-Barce, gdyż jak mówią, jest to najbardziej oryginalny stok górski w całej okolicy, wioska zaś wzniesiona na jego szczycie, zdaleka zupełnie przypomina czapkę.

Rzeczywiście, skoro tylko lekki wietrzyk wieczorny ochłodził nieco atmosferę, dosiedliśmy koni i ruszyliśmy w drogę. Z początku jedziemy nad brzegiem rzeki Zentag i przebywamy skaliste wawozy, poczem musimy wspinać się na skałę po stromej, wężykowatej ścieżce, na której olbrzymie głazy służą zamiast stopni. Ksar widzimy z doliny, robi wrażenie niezdobytej twierdzy, opasanej olbrzymiemi złotymi murami, które piętrzą się dumnie na stromym górskim stoku. W miarę jednak, jak się zbliżamy, przekonuję się coraz bardziej, iż nie są to wcale mury, ale górska ściana, budynki zaś do niej przyczepione, wcale wspaniałością się nie odznaczają. Niebawem pozostawiwszy konie u wejścia do Ksaru, wdrapujemy się na sam wierchołek, dopomagając sobie rękami i nogami. Dokoła leżą zwaliska kilku zburzonych chat i spichlerzy.

Stanąwszy na szczycie, przechodzimy pod arkadą niewielkich drzwi na krętą, wąską uliczkę, zarzuconą kamieniami lub kawałkami cegły, a wiodącą po nad krawędź skały. Ztamąd roztacza się rozległy widok na doliny, wawozy i pagórki z malowniczymi zwaliskami. Gdzieś tam zielenią się małe oazy, otoczone kawałkami uprawnego gruntu, gdzie teraz właśnie krajowcy żną jęczmień. Fantastyczny łańcuch górski, prawdopodobnie wulkanicznego pochodzenia, ciągnie się aż do

krańców widnokregu, zawsze tak poszarpany i dziwnie posępny.

Po kamieniach wystających ze ściany, wspina się chociaż z wielkim trudem na taras, najwyższego *rorfu* czyli spichlerza, na którym leżą stopy pestek daktylowych, wysuszonych już na słońcu. Przedemną otwiera się niezgłębiona przepaść, tak, że z obawy, aby mię wiatr na dno jej nie zepchnął, muszę zgnać się na tarasie, zrobionym z tak nietrwałego materiału, że się ugina pod memi stopami.

Wprawdzie żaden z tych budynków nie zdołałby się oprzeć pociskom armatnim, ale dla koczowniczych rabusiów stanowią one niezdobyta warownię i od wieków już stoją na straży niepodległości Udernów. Ci ostatni słyną w całym kraju, jako ludzie dzielni, odważni, a zarazem tak uczciwi, że kradzież należy u nich do rzeczy nieznanych. Chociaż więc drzwi *rorfów* jak dniem tak nocą stoją otworem, nigdy jednak najmniejsze nadużycie zaufania właścicieli popełnionem tam nie zostaje.

Natychmiast po zachodzie słońca bez żadnego niemal przejścia zapada noc daleko szybciej, niż w innych miejscowościach. Za powrotem przejeżdżamy przez drugi *ksar*, czyli wieś berberyjską, zbudowaną na dolinie i słynną z meczetu, który jest celem wędrówek dla muzułmańskich *marabutów*. Ksar ten na pierwszy rzut oka możnaby wziąć za opuszczoną i bezludną wioskę, bo oprócz kilku psów i małej dziewczynki, nikogośmy tam nie spostrzegli.

Wycieczka powyżej opisana miała być tylko wstępem do znacznie większej wyprawy, oznaczonej na dzień następny. Podczas, gdy się wspinałem po skałach i urwiskach, p. Keck wysłał do Duietu gońca z rozkazem przygotowania wszystkiego, co potrzeba na nasze przyjęcie. Za powrotem mieliśmy przejeżdżać przez Chenini, cała zaś ta wycieczka wynosi 64 kilometry. Nie zniechęca to mię jednak, bo na grzbiecie pocziwego »Mustafy« niemal z rozkoszą się podróżuję.

Nazajutrz rano spostrzegam przededrzwiami wywiadowczego biura kilkunastu Arabów, którzy ujrawszy mię, wstają i witają uprzejmie. Leżąc na ziemi na sposób wschodni, ułożyli oni z grubej warstwy piasku wypukłą mapę swego terytorium, na której góry, rzeki, *ksary*, wawozy, oazy i potoki zostały z jak największą oznaczone dokładnością. Jestto praca istotnie godna podziwu. Ze szkiców tych oficerowie francuzcy rysują pierwsze kontury swych map, aby następnie sprawdzić je na miejscu.

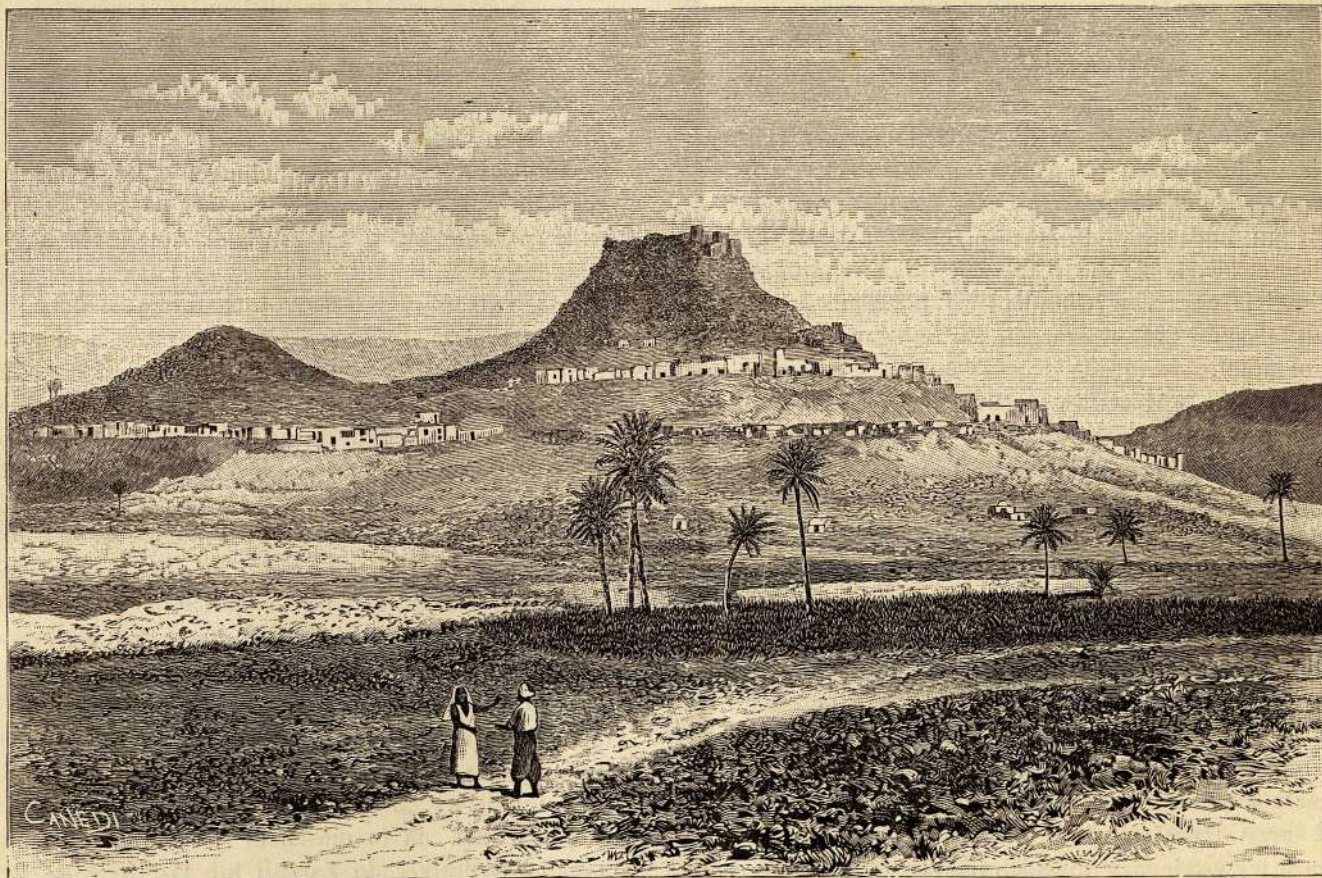
O siódmej rano p. Keck daje hasło do odjazdu. Wycieczka ta nie da się porównać z najbardziej nawet awanturniczą podróżą po Europie. Najprzód jedziemy piaszczystym brzegiem rzeki Uedu, wśród miejscowości, urozmaiconej gdzieś tam palmowemi gajami, lub kawałkami pola, ale po większej części pustej, jałowej i skalistej. Potem nagle krajobraz się zmienia i wjeżdżamy do krainy arabskich *kalaasów*, czyli wyżębionych

górskich stoków. Można by rzec, iż potężna dłoń tytanów wyszczerbiła i pokrajała te góry, nadając im rozmaite geometryczne kształty stożków, piramid, walców, graniastosłupów i t. p. Po chwili zwracamy się na prawo, gdzie droga prawie niewidzialną się staje. Biada wszakże temu, kto by zechciał jechać na chybił trafił, bo w tym na pozór jednolitym gruncie istnieje mnóstwo rozpadlin i głębokich dołów, wyżłobionych przez wodę.

Niebawem wjeżdżamy do wąskiego wąwozu pomiędzy dwiema wysokimi górami. Potem musimy

ominąć olbrzymią, wypukłą skałę, podobną nieco do alpejskiego lodowca, tylko zamiast błyszczących kryształów, świecącą nagiemi ścianami. Widać, że jakieś potężne kataklizmy musiały kiedyś wstrząsać tą krainą.

Drugi wąwóz, mniej dziki od poprzedniego, wiedzie nas na szeroką równinę, na końcu której wznosi się góra i wioska Duiret. Nazwa ta oznacza małe domki. W rzeczywistości chaty Duiretu, widziane z dołu, przypominają wybornie ażurowe desenie, wycinane przez



Tunetania. — Ksar duirecki; podług fotografii. (Zob. str. 149 i nast.).

Chinczyków z kości słoniowej. Biała góra i także same domy zarysowują się łagodnie na lazurowym tle nieba. W oddali powiewają burnusy, mające w tym razie zastąpić miejsce chorągwi i wywieszone widocznie na cześć naszego przybycia.

U samego niemal celu podróży zrywa się *sirocco*, które jednak nie może iść w porównanie ze strasznym huraganem, z jakim musieliśmy walczyć w Guifli. Bądź co bądź wiatr ten zrywa mi kapelusz i welon, unosząc je do wsi po nad tarasem jakiegoś domu i rzuca wreszcie na drugi dziedziniec przeznaczony dla kobiet, które widząc mocno pogniecione okrycia głowy, wydają okrzyki podziwu. Po chwili dopiero jakaś litościwa

dziewczynka podejmuje z ziemi, oraz wręcza jakiemuś Berberowi, aby mi je oddał.

W bramie Ksaru oczekuje nas szejik z kilkoma krajowcami, prosząc, abyśmy się udali do przeznaczonego dla nas domu. Jestto pieczara, której otwór wychodzi na krawędź góry, zupełnie w tym miejscu stromej. Wszystkie inne mieszkania podobnie są zbudowane i piętrzą się amfiteatralnie jedno obok drugich aż do samego szczytu, na którym się wznosi czworoboczna wieża *kasba*.

Po chwili krajowcy zabierają się do ustawienia stołu, składającego się z trzech ogromnych kamiennych sześciątów, przywleczonych aż do pieczary. W głębi

groty niewielka wypukłość gruntu służy za łożo, na którym Berberowie kładą ogromne poduszki i skóry gazeli. Na cześć naszego przybycia, szejik kazał zabić owcę i kilka kur, za które potem każdej zależnej od siebie rodzinie sownie każe zapłacić.

Wiesz ciągnie się na stoku wzgórza, równolegle z wąską ścieżką, na którą wdrapanie się daleko więcej przedstawia trudności, niżeli wspinanie się na alpejskie lodowce. Niejednokrotnie trzeba wskakiwać aż na dachy bardzo nietrwałych mieszkań, lub się przedzierać pomiędzy gruzami, które za najmniejszym dotknięciem staczają się na dół i mogą nader niebezpieczny wywołać upadek.

Wszyscy niemal krajowcy kryją się przed nami, lub trzymają zdaleka, parę tylko dzieci przyjmuje ofiarowane sobie lusterka, ale nie śmie do nas się zbliżyć, by je odebrać z rąk naszych, ponieważ religijny fanatyzm wstrzymuje je od tego. Po paru godzinach wypoczynku podążamy do Chenini, leżącej w odległości 7 kilometrów, konie zaś nasze idą jeden za drugim po wąziutkiej ścieżce, wyciosanej nad brzegiem przepaści. Jeden fałszywy krok wystarcza, ażeby zginąć w bezdennej otchłani.

Chociaż »Mustafa« posuwa się tak śmiało, jak gdyby po równej szedł drodze, przy spuszczeniu się jednak z przeciwległego stoku, postanowiliśmy zsiąść z koni i resztę drogi odbywać pieszo. Należy bowiem wiedzieć, że alpejskie dróżki są przepysznym, bitym gościńcem w porównaniu do nierównej skalistej ścieżyny, wodącej z Duiretu do Chenini.

Okolice tej ostatniej są bardziej dzikie, niż pierwszego, a wapienna ściana, do której jest przyparta, odznacza się dziwacznijszem jeszcze wyźębieniem.

Widocznie więcej cywilizowani mieszkańcy tej wioski otaczają nas dokoła, dwaj zaś murzyni, ubrani w białe koszule z czerwonymi szlakami, zaczynają tańczyć przy dźwiękach fletu i *tobolu* (bębna). Taniec ich wyraża wszystkie fazy ludzkich namiętności, odbywa się miarowo podług pewnych stałych przepisów i wymaga takiej giętkości członków, jaką tylko akrobaci zwykle posiadają.

Wszyscy prawie Berberowie z Chenini są blondynami o niebieskich oczach, w rysach zaś mają pewne podobieństwo do Sabaudczyków i Szwajcarów. Corocznie znaczna ich część opuszcza wieś rodzinną, szukając zarobku w nadmorskich miastach, gdzie wstępują zwykle na służbę jako kucharze lub piekarze. Krajowcy, mieszkający stale w Chenini, posiadają wiele wielbłądów, oraz utrzymują stosunki z Tuaregami. Niezmiernie się zdziwiłem, gdy jakiś jedenastoletni Berber z żywą i inteligentną twarzą odezwał się do mnie po francusku.

— Gdzieżeś się nauczył tego języka? — zapytałem.

— W Tunisie.

— Cóż tam robił?

— Służyłem Francji.

— A to w jaki sposób?

— Sprzedawałem *Figaro*, *Gaulois*, *Lanterne*. *Gil-Blas* i inne dzienniki, zarabiając dziennie po 2 lub 3 franki.

Kiedym mu ofiarował 50 centymów, chłopak mi odpowiedział:

— Twój dar wcale mię nie cieszy. Gdyby to było w Tunisie, to co innego, ale tu cóż będę z nim robił? Nikt z nas niema pieniędzy, a w całym Cheninie nie można nic sprzedać, ani kupić.

— A cożeś robił z pieniędzmi w Tunisie?

— Połowę oddawałem memu panu, za resztę zaś kupiłem sobie burnus, haik i zegarek.

Na pożegnanie darowałem mu lusterko, z którego bardzo się ucieszył.

We wsi Metruja, poniżej Chenini minaret meczetu przypomina zupełnie dzwonicę naszych kościołów, może więc pierwotnie świątynia ta przez katolików została wzniesiona.

Do Tatahuinu wracamy inną drogą, daleko bardziej malowniczą i ciekawą. Pokazują mi tam wieżę Drinę i mauzoleum rzymskiego pochodzenia, oraz kilka kamieni ze śladami starożytnych napisów. Dopiero o godzinie 9 wieczorem wróciliśmy z tej miłej przejażdżki po okolicy tak charakterystycznej, a tak mało jeszcze znanej i badanej.

XI.

Pobyt w Fum-Tatahuinie, gościnne przyjęcie, jakiego tam doznałem i wycieczki odbyte w towarzystwie serdecznego mego przyjaciela, p. Keck'a, należą bez wątpienia do najmiłszych wspomnień z wędrówki do Tunetanii. Bądź co bądź długie i męczące podróże konne, odbywane bez wytchnienia w przeciągu dni kilku, rozstroiły mi nerwy, a nawet nadwreżyły zdrowie. Bez względu jednak na to musiałem wrócić do Medeninu, zamtąd zaś dotrzeć do Zarzisu lub Dzerby.

I tym razem jeszcze ofiarowano mi do jazdy dzielnego »Mustafę«. Po serdecznym pożegnaniu z przyjaciółmi i obietnicach zobaczenia się kiedyś, puszczam się w drogę z p. Keck, oraz dwoma oficerami, którzy mi towarzyszą na przestrzeni kilometra, poczem ściskam ich dłonie i sam dalej wędruję. Nie wiem, czy zmęczenie, wśród długiej podróży i zupełne osamotnienie, czy też gorączka rozwijająca się stopniowo w moim organizmie, nagliła mię do pospiechu, to tylko wiem, że w przeciągu czterech niespełna godzin przebyłem 55 kilometrów i zdziwiłem się niemal, znalazłszy się w obozie, który jak mniemałem, musiał być jeszcze daleko. »Mustafa« pomimo pospiechu przybył w niezbyt złym stanie, oraz zdawał się zupełnie zadowolonym z tak szybkiej podróży. Co do mnie, to stanąwszy na miejscu, uczułem nagle tak gwałtowny ból w piersiach, że nie mogłem ani

mur przedstawia w płaskorzeźbie cesarza bizantyńskiego, przyjmującego hołd niski wschodnim zwyczajem jakiś gość rycerza czy księcia. Kto jest ów cesarz, trzymający krzyż w rękę, otoczony aureolą lub diademem o potrójnym krzyżu, archeologowie nie mogli jeszcze odgadnąć, przynajmniej za mego tamże pobytu. Niektórzy sądzą, że mógł to być niekoniecznie cesarz bizantyński, lecz któryś z królów kroackich, a przypuszczenie swoje udowadniają strojem staro-słowiańskim, w jakim się przedstawia owa zagadkowa figura.



Drugi nie mniej interesujący, a również jeszcze nie zupełnie zrozumiany pomnik, jest to napis łaciński na dwu marmurowych płytach, pochodzących z boków sarko-

fagu. (Zob. ryc. na str. 156).

Jedni odczytują go:

(Svetos) CLaV DVX HROATORum IN TEMPVSD IRZISCLaV DVCEm MAGNVm (? occidit lub interemit).

Inni przypuszczając brak znajomości łaciny w pisarzu pomnika, nieco tekst napisu zmieniają. W każdym razie jest widoczna antyteza między *Dux Hroatorum* a *Dux Magnus*, ztąd wnoszą o jakimś samozwańczym księciu kroackim, lub pretendencie do tronu, co z czasem, gdy się zagadka rozwiąże przy pomocy innych pomników, ważnym będzie nabytkiem dla badacza jednej z najciemniejszych kart dziejów średniowiecznych.

* * *

Dla urozmaicenia mego pobytu, gościnni Ojcowie proponują nową wycieczkę pod granicę bośniacką, a więc w okolicę leżącą wprost przeciwnym kierunku do *poli Kossowego* i leżących nad niem ruin starego Kninu.

Dzień był pogodny, ani jedna chmurka nie zasłaniała nam promieni słonecznych, więc łatwo decyzyja zapada i znowu znajdujemy się na bryczce. Droga prowadziła doliną nieco pagórkowatą, przez kilka bardzo schludnych wiosek, po większej części zamieszkałych przez ludność wschodniego wyznania. Tak katolicy, jak grecy mile nas witają, pierwsi naszym pozdrowieniem »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«, drudzy »po-błogosław nam Ojciec«.

Zatrzymujemy się przed szerokim obeliskiem, wyrażającym z ziemi u podnóża skały, bez żadnego oparcia. Ciekawy to wybryk natury. Nieco wyżej znajduje się jedna z bardzo licznych w tej okolicy wapiennych

grot, a w niej bije źródło krystalicznej wody. Mały zbiornik zdaje się bardzo płytkim, bo kamyczki na dnie widać doskonale, gdyby jednak kto chciał zmierzyć głębokość, to kilka metrów zaledwieby na to starczyło. Woda ta wypływa z pod skał Dynarskich, tworzy otwór podziemny i łącząc się z innymi strumykami, tworzy rzeczulkę zasilającą Kerkę. Rzeczka ta jest jakby Nilem dalmatyńskim użyźniającym pola, łąki i gaje tej urodzajnej i pięknej doliny. Podobną zasługę mają rzeki: Zermania w północnej części Dalmacyi, Cetyna mająca swe źródło w okolicach Vrliki, a przerzynająca najbogatszą równinę Sinii i dalej na południe aż do Almissy, wreszcie jak Neretwa, największa ze wszystkich, wypływająca w Bośni między Trawnikiem a Serajewem, przerzynająca Hercegowinę, jej stolicę Mostar, zanim wpadnie do morza, poniżej Metkowicy. Wody tych rzek, zwłaszcza Kerki, Cetyny i ich dopływów, niejednokrotnie gubią się po drodze, płyną podziemnym kanałem, a zasilone źródłami nowymi, znowu tryskają niespodziewanie szeroką wstęgą.

Opatrzność jednak zrządziła, że się nie zagłębiają w podziemiach tak dalece, aby znaleźć rozpadliny i krótką drogą dopłynąć do morza. Zakreślają one szerokie koła, wiją się po równinach, jakby wszystkie pragnęły wodą swą zasilić, a okok nich ożywia się natura, tworzą się urodzajne pola, bujne łąki i rajskie ogrody.

Z miejsca, w którym nieco zatrzymaliśmy się, już niedaleko było do bośniackiej granicy. Cóż nam przeszkadza do niej nie dotrzeć? więc po chwili konie ruszyły i wkrótce stanęliśmy w miejscowości nazwanej dzisiaj *Grab* lub *Sternica*, dawniej *Strigonium*, gdzie przyszedł na świat św. Hieronim Doktor Kościoła. Stary kościółek pod wezwaniem tego Świętego i kilka chat wieśniaczych, oto wszystko, co znaleźliśmy na starożytnym rzymskim posterunku. Ruiny znikły, lecz pamięć człowieka, który ztąd wyszedł i jego zasługi, pozostaną na wieki w Kościele Bożym, a więc i na wieki trwać będzie sława maleńkiej Sternicy.

Z powrotem konie stanęły znowu przed innym źródłem, zwanem »Bana Marcinkovica«, tryskającym fontanną z pod skały. Tradycja tutejsza podaje, że sławny rycerz kroacki Ban Marcinko, podczas wojen z Turkami, cudów mężstwa dokazywał i tutaj przybywał, aby konia napoić, a potem w trzech skokach znowu znajdował się na polu walki.

Lud przechowuje pamięć o nim w następującej pieśni o grodzie Knińskim, którą nam O. Barbić zanucił:

Kninu grade, gnjizdo sokolovo,

Na krajini krvava košuljo:

Mnogie ti si razcvilio majke,

I sestrice u crno zavio!

U tebi se bani porodiše,

Prija neg'te Turci osvojiše;

U tebi su i biskupi stali,

I duchovne naredbe davali.

Kninu grade, naša lipa diko!
 U tebi se porodi Marčinko,
 Ljuti zmaje, na krajini bane,
 Koji mnoge odnese mejdane,
 Kad na konju trčaše Marčinko,
 Uteći mu ne mogaše nitko;
 I vitezovim kad se odskakaše,
 Doskočit mu nitko ne mogaše.
 I sada su stupi od kamena,
 Usadjeni u stara vrimena,
 Ter su sada skakališta zvana,
 Po imenu Marčinković bana...¹⁾.



(Zob. wyjaśnienie na str. 155).

Ze zmianą czasów i stosunków zmienił się także i rodzaj bohaterów, lecz nigdy ich tutaj nie brakowało i dzisiaj nie braknie. Oto zbliża się mężczyzna w czerwonym turbanie, o rycerskiej twarzy, barczystych ramionach, a choć siwizna ledwie przeprużyła mu włosy, liczy już sobie ósmy krzyżyk wieku. Nisko się skłonił przed XX. Bernardynami, jako swoimi duchownymi Ojcam¹⁾, a na zapytanie, czy się już nawrócił?

— Już od lat kilkunastu pokutuję — mówił — modłę się i mam ufność w Bogu, że mi przebaczy wybryki dawniejsze.

Wybryki to były bardzo »niewinnej« natury. Raz mu podpalił stodołę sąsiad wschodniego wyznania; nie wiele myśląc, pozostawia dom opiece Bożej, sam zabiega drogę winowajcy i staje na kładce prowadzącej przez

rzekę, którą podpalacz musiał koniecznie przechodzić. Gdy się ten zbliżył, chwytą go w swe silne objęcia, zwiążuje i wrzuca we wodę głową na dół.

Dwa podobne wypadki miał w życiu, obydwa uszły mu bezkarnie. Odtąd stał się postrachem mściwym innowiercom, a w swej wiosce znalazł sławę opiekuna uciśnionej katolickiej ludności.

Przy dalszym przystanku spotkaliśmy zgrabny bośniacki wózek o czterech równej wielkości kołach, ciągniony przez dwa pyszne rumaki. Woźnica, a zarazem

właściciel jedzie na jarmark do Kninu; ma turban czerwony na głowie, pierś zdobią wyszywania różnokolorową tasiemką, dwa rzędy srebrnych guzów wielkości włoskich orzechów prześlicznej ażurowej roboty, rozmaite medale, łańcuszki, zapinki misterne, wszystko to krajowy wyrób ze srebra lub

złota. Na wózku siedziały trzy Bośniaczki, matka z córkami. Gdyśmy się zbliżyli i rozmawiali z ojcem tej wiejskiej rodziny, dziewczęta powstały pełne uszanowania i tej dziwnie miłej powagi, gdy się złączy z niewinnością dziecięcą.

Jedna z dziewcząt miała całą pierś zasłoniętą jakby pancerzem srebrnym, były to cwancygiery i inne srebrne i złote monety. Głowę przykrywała podobna srebrna misiurka lub hełmik spadający z przodu na czoło, w tyle aż na ramiona. Strój to nader piękny i cenny, toż czasem dziewczyna w nim posiada cały swój posag. Bośniak rad był bardzo, że miał co pokazać i cieszył się tem więcej, że mogliśmy się dostatecznie zrozumieć.

Słońce bieg swój kończyło, czas był do powrotu. Przed miastem wysiadłem z jednym Ojcem, aby ze szczytu twierdzy Knińskiej raz jeszcze okiem objąć całą okolicę. Droga zrazu prowadziła wygodna, lecz w miarę jak się posuwaliśmy dalej i dalej przez mosty zwodzone, bramy, korytarze, po schodach karkołomnych, na najwyższy taras, zdawało się że nie dojdziemy, tak przykry był dostęp. Wynagrodził nam trudy widok wspaniały.

Słońce bieg swój kończyło, czas był do powrotu. Przed miastem wysiadłem z jednym Ojcem, aby ze szczytu twierdzy Knińskiej raz jeszcze okiem objąć całą okolicę. Droga zrazu prowadziła wygodna, lecz w miarę jak się posuwaliśmy dalej i dalej przez mosty zwodzone, bramy, korytarze, po schodach karkołomnych, na najwyższy taras, zdawało się że nie dojdziemy, tak przykry był dostęp. Wynagrodził nam trudy widok wspaniały.

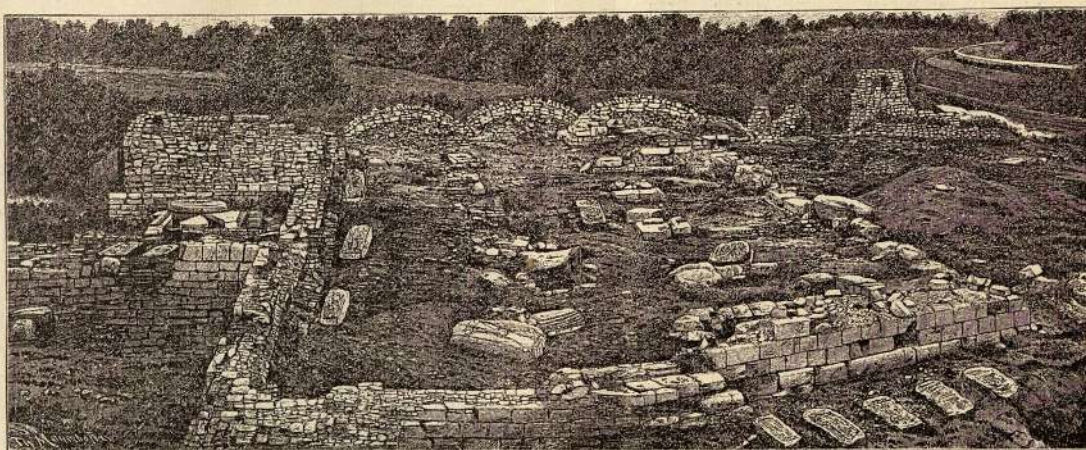
Jak na dłoni mamy przed sobą całą dolinę Kninu, zamkniętą pasmami gór. Oku się zdaje, jakby tu były same ogrody, wśród nich gajki, stawy, dalej nieco winnice, wsie i miasteczka, a nad niemi wznoszą się poważnie wieżyczki kościołów i kopuły cerkwi. Wszystko

¹⁾ Porównaj Razgovor O. Kačića Miošića I. c., str. 592.

to poprzerynane srebrzystą wstęgą Kerki i trzema jej dopływami, mnóstwem strumyków pomniejszych, drogą żelazną, bielejącym gościńcem i polnemi drogami wśród rozłożystych dębów, smukłych topoli pod baldachimem lazurowego nieba, oblane różowym światłem zachodzącego słońca, na tle sinego łańcucha alp Dynarskich — dało nam panoramę tak wspaniałą i podnoszącą ducha, iżby się chciało w tej opuszczonej twierdzy dłużej pozostać i dumać nad pięknnością tego dzieła rąk Boskich, nad przeszłością tej miejscowości tylekrotnie skropionej krwią męczenników za wiarę i niepodległość ojczyzny. Lecz oto znika ostatni promyk słoneczny, noc zapada, więc już ostatni czas do powrotu, bo po tych schodach spadzistych nad przepaściami i urwiskami, kilkanaście razy większemi, jak ta, która się znajduje pod skałą Tarpejską — schodzić niebezpiecznie.

Obecnie ponuro wygląda twierdza Kninu. Od czasu zajęcia Bośni przez rząd austro-węgierski, żywej duszy tu niema. A jednak do niedawna jak ważny był tu punkt strategiczny, ile zużyto pracy egipskiej, zanim stanęły piramidalne, prawie niezdobyte kamienne mury trzech twierdz, wyrastających z tyłu pagórków na jednym i tysamym łańcuchu gór!

Posterunki tureckie, stojące tuż obok w sąsiedniej wiosce, patrzyły na nie jak ów lis w bajce na niedojrzałe winogrona i nie śmiały, tak jak dawniej bywało, zapuszczać się po zdobycz na Knińską równinę. Dziś lis ten daleko na Wschód wypędzony, inne stosunki w bliskim sąsiedztwie panują — Dalmatyńcy nie potrzebują niczego obawiać się od swych braci Bośniaków, więc i twierdza opuszczona, pusta, stała się mieszkaniem sów i nietoperzy.



Dalmacya. — Wykopaliska zwane *Capitulum* św. Bartłomieja w okolicy Kninu. (Zob. str. 154).

VIII.

Wrlika.

Z dawnej stolicy kroackiej do Spalato, serca Dalmacyi, dwoma drogami można się dostać: kolejną na Dernisz i Perković, lub końmi na Wrlikę i Sinj. Zachęcony przez uprzejmego gwardyana knińskiego klasztoru, wybrałem tę drugą drogę, jako bardziej malowniczą i bogatszą w historyczne pamiątki. Towarzyszył mi O. Barbić. Innego celu podróży kilkumilowej nie miał, jak tylko ten, aby mi uprzyjemnić drogę do Wrliki.

Jechaliśmy dobrym gościńcem wśród piekących promieni słońca, owiani raz po raz chłodnym wietrzykiem, dochodzącym z pobliskich parowów, piękną i bogatą okolicą bezustannie u podnóża Alp Dynarskich nad brzegiem Kerki aż do jej źródeł. W Topolie uroczą kaskadą Krcicy łączącej się z Kerką, przykuwała wzrok nasz do siebie; przesunął się przed nami to klasztor w Cetynie, niegdyś kilka razy rabowany i palony przez Turków — to pamiętne majdany, często zwilżane niewinną krwią Chrześcijan, bielone kośćmi zwycięzców i zwy-

cięzonych... Towarzysz podróży kreślił w pięknych obrazach dzieje miejscowe swego zakonu, toż parę godzin drogi do Wrliki minęło niepostrzeżenie jak jedna najmilsza chwila.

Miejscowego łaćńskiego proboszcza Franciszkanina nie zastaliśmy w domu, wyjechał do chorego. Poszliśmy więc do drugiego proboszcza obrządku wschodniego X. Piotra Stanića, należącego do dyecezyi kriżowackiej, który tutaj ma pieczę nad bardzo nieliczną parafią swego rytu. Tak jak wszyscy księża tej dyecezyi, jest żonaty. Najmilej mię przyjął i od razu zaprzyjaźniliśmy się serdecznie, a pomostem do tego była znajomość języka ruskiego i polskiego. Studya teologiczne odbywał we Wiedniu, poznał wielu Polaków i Rusinów, i wcale dobrze wyuczył się obydwu języków. Nie tracąc czasu, zrobiliśmy zaraz wycieczkę po mieście, czy wiosce, nie wiem jak nazwać Wrlikę, liczącą zaledwie 500 dusz. W każdym razie, jeżeli nie jest miastem, porządek tu większy, jak w niejednym mieście galicyjskiem o kilku tysiącach mieszkańców.

Domki bardzo schludne, murowane, kilka nawet kamienic gustownych, a jedna z najgustowniejszych, to kasyno miejscowe. Nieprawdopodobnem może się wydać, że we wiosce o bardzo nielicznych mieszkańcach znajduje się takie siedlisko nauki i rozrywki. W jednym pokoju znalazłem kilka dzienników i pism peryodycznych, w drugim salę przeznaczoną na koncerty i zabawy, obok jest kawiarnia, podobno nie zła. Tego rodzaju lokale znajdują się w każdym miasteczku, w każdej niemal trochę większej wioszczynie dalmatyńskiej. Bo też nie trzeba brać tutejszych mieszczan na równi z naszymi. Niema tu wprawdzie na prowincyi arystokracji i majątniej szlachty; nawet mieszczenie nie są bogaci w naszym znaczeniu, jednakowoż czują potrzebę pokarmu umysłowego, odznaczają się układnością towarzyską i tą delikatnością, jaka się znajduje w krajach prawdziwie cywilizowanych. Szeroka alea kasztanowa, ulubione miejsce przechadzki mieszkańców, prowadzi do pięknego lasku, w którym znajduje się zbiornik wody, cały z ciosowego kamienia. Do niego spływa woda z trzech źródeł, ujętych w gustowne cementowe rynny. Dokoła wygodne kamienne ławeczki, stoliki, coś jakby w zakładzie wodoleczniczym. Rzeczywiście, źródła o których mowa, są mineralne i bardzo skuteczne na różne dolegliwości organizmu ludzkiego. Strony kompetentne zapowiadają Wrlice jedną z rzadkich w swoim rodzaju stacyi kuracyjnych.

Jeżeli się zważy, że i okolica tutejsza piękna i zdrowa, to każdy przyzna, że dla chorego lub zmęczonego człowieka więcej tu nie potrzeba, zwłaszcza, że przytem na dolegliwości duszy są aż dwaj lekarze: Ojcowie duchowni dwu rytów katolickiego Kościoła, dwie świątynie, jedna z nich zbudowana na gruzach moskey tureckiej, druga wzniesiona przed dwudziestu laty. Obok jest plebania; na tem samem miejscu, nawet w tych samych murach mieszkał ongiś muzułmanin Beg Turudić, który był postrachem dla miejscowych chrześcijan. Dla wyznawców orientalnych także znajduje się osobna cerkiew. Wobec faktu, że ludność tutejsza jest jednej i tej samej narodowości, mieszanina rytów i wyznań w tak małej miejscowości, razi bardzo i daje sposobność, podobnie jak w innych stronach Dalmacyi, do najprzykrzejszych rozdziwojeń umysłów i źle bardzo wpływa na usposobienie parafian. Jest to jedna jedyna strona ciemna na tem jasnym, pogodnym, horyzoncie wrlickim. Obok, zaraz za górami w Bośni, stosunki pod tym względem są jeszcze gorsze, ponieważ prócz powyższych, jeszcze są tam wyznawcy Mahometa, chociaż teje co katolicy lub greki sławiańskiej narodowości, jednego języka, jednych obyczajów.

Gdy tak oglądaliśmy piękności okolic i bogactwa natury, przyjechał od chorego proboszcz łańcki Franciszkanin. Nie pojmuję, jak koń mógł unieść taki kolos na swoim grzbiecie. Podobnego Herkulesa tylko dwa

razy widziałem w życiu. Jeżeli Dalmacya ma więcej takich synów, a ma ich dużo, zwłaszcza w górach między Morlachami, to nie dziwię się, że Fryderyk W. łowił ich do swego sławnego pułku olbrzymów, jednych na złotą wędkę, drugich, jak mówią, przemocą. Rycerska postawa dziwnie mile odbija od anielskiego wyrazu twarzy, w której się miłość, słodycz i pogoda duszy przebijają. Zapoznanie się z takim człowiekiem nie było trudne. Dużo rozmawialiśmy o tutejszych stosunkach obecnych i dawniejszych, przyczem anti-italizm wyszedł jak szydło z worka.

— Za mego dzieciństwa — mówił O. Franciszkanin — ba, nawet jeszcze przed dziesięciu laty wszystko tu było po włosku, chociaż ani jednego nie było Włocha. Nietylko w szkółce elementarnej uczono nas wyłącznie w tym języku, ale nawet w kościele i katechizmu i pacierza!



Uroczystości weselne w północnej Dalmacyi. Kopia starego obrazu szkoły weneckiej.

Dnia następnego po mojem przybyciu, na rannem nabożeństwie dużo zebrało się ludu z miasteczka i okolicy, chociaż dzień był powszedni. Dobre to rzuca światło na usposobienie ludności, lecz jeszcze lepsze na samego proboszczą, umiającego wiarę świętą i pobożność podtrzymywać w tym ludzie, pomimo trudności miejscowych, o jakich wyżej mówiłem.

Jakkolwiek było tu jeszcze co do oglądania w okolicy: i góry wspaniałe, w pobliżu groty skalaktytowej o kilku komorach i wnętrzem jezioru, i ruiny dawnej twierdzy tureckiej, pomimo tego czas naglił do drogi, więc ledwie okiem rzuciłem na starodawne pamiątki, budzące raz miłe, raz bolesne wspomnienia, i starodawnym zwyczajem siadam do czarnożółtego oszklonego pudła, zwanego »pocztą«.

Uprzejmy konduktor, zwinny jak wiewiórka wśród drzew orzechowych, jeszcze pogodniejszy okazał oblicze, iż znalazł chociaż jednego pasażera w długiej podróży. Więc zaczął mnie otaczać swoją opieką i z wielkiej radości naprzemian jedno słowo po kroacku, drugie po

włosku, trzecie po niemiecku mieszał w swej rozmowie tak, że w końcu zniecierpliwiony, jakim właściwie językiem on mówi, pytam z kąd rodem. Ze zdziwieniem słyszę odpowiedź:

— Z pod Łańcuta w Galicyi.

— Skoroś pan Polak, to mów po polsku — odezwałem się ojczystym językiem.

»Pan« Stefanowicz, tak się nazywał mój konduktor, teraz już nie posiadał się z radości, gdyż jak mówił, od lat dwudziestu dopiero pierwszego Polaka wiezie dylżanssem.

Począł mi opowiadać swoje »heroiczne« dzieje, to w policyi krakowskiej, to w służbie wojskowej we włoskich kampaniach, wreszcie na twardym konduktorskim chlebie. W duszy go posądziałem, że musiał także wielką rolę odgrywać w budowie wieży Babel, bo chociaż był trzeźwy, tak mu się coś w ustach poplątało, że doprawdy nieraz nie rozumiałem co mi opowiadał wszystkimi możliwymi, a najczęściej niemożliwymi językami.

X. Marcin Czerwiński.

(C. d. n.).

LISTY Z AUSTRALII

X. Stefana Marschner'a do X. A. L. w Krakowie.

(Druga serya)¹⁾.

—*—

Missya N. S. Pana Jezusa, dnia 28 grudnia 1890 r.

Od chwili skreślenia ostatniego mego listu upłynęły cztery miesiące, w przeciągu których nasza stacya missyjna znacznym uległa zmianom. Dzięki przybyciu dwóch nowych Braci, mogliśmy zbudować trwałą i porządną domkę, do któregośmy przenieśli kuchnię i spiżarnię. Nadto nowy ten budynek długości 8 metrów a szerokości 3½, służy również za mieszkanie i pracownię dla naszych Braci. My więc tylko z Ojcem Przełożonym pozostaliśmy w starym domu. Dokoła niego ciągnie się znaczny obszar uprawnego gruntu, na którym, dzięki częstym i obfitym deszczom, coraz to nowe płody kiełkować zaczynają.

W roku bieżącym zasialiśmy około 20 gatunków rozmaitych zbóż i jarzyn. Gdyby Pan Bóg raczył nam zesać urodzaj, byłoby to dla nas jakby pierwszą rękojmnią pomyślnego rozwoju biednej naszej missyi. Jeżeli jednak grunt nie będzie w stanie wyżywić tych, którzy pracują tak gorliwie nad jego uprawą, w takim razie przyszłość tej stacyi missyjnej w niezbyt jasnych przedstawia się barwach.

Obecnie jesteście zajęci budową szkoły, którą ukończymy prawdopodobnie za parę tygodni. Czy nie-

liczna działwa, znajdująca się w naszej okolicy, zechce pilnie i regularnie do niej uczęszczać, to przyszłość dopiero pokaże. Mamy jednak nadzieję, że szkolny ogródek, w którym rosną rozmaite owoce, będzie na dzieci wywierał pewien wpływ atrakcyjny.

Wychowanie młodzieży, to główna rękojmia powodzenia naszej pracy, gdyż z dorosłymi nie wiele da się zrobić. Nie są oni wprawdzie nieprzychylnie usposobieni dla religii, ale zupełną względem niej zdradzają obojętność. Musimy więc zadawałniać się tem, że krajowcy wzywają nas niekiedy do konających, którym *in articulo mortis* udzielamy Chrztu świętego.

Począwszy od sierpnia nasze krowy dają nam codziennie świeże, dobre mleko, Przez kilka ostatnich miesięcy chleb i mleko były wyłącznem mojem pożywieniem i bardzo dodatni wpływ wywarły na me zdrowie.

Zastępuje na uwagę, że ludność tutejsza nie tylko nie zna żadnego kultu, żadnej władzy, a nawet żadnej odzieży, ale zarazem niema najmniejszego pojęcia o muzyce i śpiewie. Wprawdzie krajowcy nucą jakieś melodie, ale bez słów, które zastępują tylko różnorodne, nader dziwaczne modulacje głosu.

Nie uznają też żadnej nad sobą władzy, gdyż nawet ojciec w gronie swej rodziny nie wielkim ze strony dzieci i domowników cieszy się szacunkiem. Natomiast ogromny wpływ posiadają starcy, którzy przez kuglarstwo i szalbierstwo umieją przejąć całe swe otoczenie pewną bojaźnią i trwogą.

Wielką uwagę zwracają krajowcy na wszystkie fazy księżyca i słońca, i stosownie do nich, oznaczają porę na igrzyska lub ogólne zebrania. Moznaby ztąd wnioskować, że niegdyś w tym kraju istniał pewien kult ciał niebieskich, którego ślady jednak stopniowo się zatarty...

II.

Stacya missyjna N. S. P. Jezusa dnia 29 maja 1891 r.

Chociaż miesiąc za miesiącem z niepostrzeżoną upływa szybkością, nawracanie wszakże i oświecanie biednych naszych dzikich, daleko powolniejszym posuwa się krokiem. Codziennie teraz rano i wieczorem odbywam lekcję z dorosłymi i dziećmi, tłumacząc lub powtarzając im to tylko, co niezbędnie jest potrzebne. Pomimo jednak tak gorliwej pracy nie mogę wcale ręczyć, czy choć jeden z moich uczniów potrafiłby się przeżegnać bez omyłki. Zadanie moje utrudnia jeszcze ta okoliczność, że codziennie niemal nowi słuchacze zastępują miejsce dawnych. Jeżeli też krajowcy po kilku dniach nauki znowu, jak zwykle na kilka tygodni oddalą się z missyi, to za powrotem okazuje się najczęściej, że tak dalece zapomnieli moich nauk, jak gdyby o Chrystyanizmie nigdy nic nie słyszeli.

Największą jednak przeszkodę stanowi zupełna obojętność względem chrześcijańskiej wiary i głębokie

¹⁾ Pierwszą seryę listów z Australii tegoż misjonarza, zamieściliśmy w *Missyach katolickich* z r. 1891, str. 49 i nast.

przywiązanie do starych obyczajów lub zwyczajów, które pod względem moralności częstokroć nader wiele pozostawiają do życzenia.

Teraz właśnie zbliża się okres tak zwanych *czaboi*, mających wiele podobieństwa do starożytnych misteryów. Główną rolę odgrywają przytem kości goleniowe jakiegokolwiek zmarłego lub zamordowanego dzikiego.

Kierunek obchodów *czaboi*, trwających przez dwa miesiące, obejmują zwykle dwaj ludzie żonaci, dokładnie obznajomieni z miejscowymi tradycjami, reszta zaś uczestników tej uroczystości rekrutuje się z niezonatych młodzieńców, a nawet chłopaków od lat 10 do 14. Przez cały dzień *czabości* śpią ukryci w krzakach i tam też każą sobie przynosić pożywienie. Dopiero o zmroku rozpoczyna się ceremonia *czaboi*, połączona z mnóstwem prawdziwie pogańskich i barbarzyńskich zwyczajów.

Ważną też rolę odgrywają tam kobiety, chociaż przez dzień cały są odosobnione od *czaboistów* właściwych. Tańce, śpiewy i zabawy, towarzyszące obchodowi *czaboi*, noszą na sobie cechę głębokiej żałoby, tak, że na pierwszy rzut oka możnaby sądzić, iż jest to pogrzeb jakiegoś zmarłego krajowca.

Na zakończenie tych dwumiesięcznych orgij, dzicy grzebią w ziemi kości ludzkie i wznoszą na tem miejscu niewielki szałas, w którym każdy z *czaboistów* otwiera sobie żyły, aby nieco krwi jego spłynęło na kości zmarłego.

Podług mniemania krajowców, obchód *czaboi* połączony jest z pewnym rodzajem klątwy, gdyż niechybnym jego skutkiem bywa nagła śmierć, choćby jednego członka jakiegoś innego, nieprzyjaznego plemienia.

Śmiertelność pomiędzy naszymi dzikimi jest stosunkowo dość znaczna. Wielu z nich umiera niezwłocznie, albo w kilka miesięcy po urodzeniu, niejedno

dziecię przez własnych rodziców zostaje zamordowane, mnóstwo zaś młodzieży umiera w samym kwiecie wieku z rozmaitych chorób, a raczej z powodu braku jakiegokolwiek troskliwości i pieczy. Corocznie też pewna ilość krajowców ginie z ręki nieprzyjaciela, który albo otwarcie występuje z nimi do walki, albo potajemnie i zdradziecko ich dusi. Samobójstwo jednak jest tu rzeczą nieznaną.

Przez długi czas starałem się zebrać statystyczne dane, aby móc określić cyfrę krajowców w naszej okolicy. Zdaje mi się, że cyfra ta dochodzi najwyżej do 200 osób, chociaż w tej liczbie mieszczą się przedstawiciele aż dziesięciu plemion, mówiących rozmaitymi językami. Terrytorium, na którem wszyscy ci ludzie wiodą koczownicze życie, nie obierając sobie nigdy stałego siedliska, ma około 100 kilometrów długości, na 50 kilometrów szerokości.

Nie należy też sądzić, aby chęć poznania i przyjęcia zasad Chrystyanizmu, wiodła do nas tych dzikich i skłaniała do pracy w misyi, bo gdybyśmy nie dawali im tytoniu, to musielibyśmy przez większą część roku obywać się bez ich pomocy.

III.

Stacya missyjna pod wezwaniem Królowej Różańca św. w Daly-River, dnia 3 września 1891 r.

Od chwili skreślenia ostatniego mego listu, missya nasza otrzymała od południowo-australskiego kolonialnego zarządu rozległy kawał gruntu na prawym brzegu rzeki Daly, który z materyalnego, agronomicznego punktu widzenia wydaje się bardzo odpowiednim do założenia tam kolonii rolniczej. Jestto około 270 akrów wydzierżawionych Towarzystwu na przeciąg lat 21 z zastrzeżeniem, że po upływie tego czasu kontrakt powyższy znowu odnowiony być może. Terrytorium w taki sposób przez nas zdobyte, należy pod względem urodzajności gruntu



Dalmatyniec z okolic Wrliki.

do najlepszych w całej okolicy. Dzięki temu układowi, staliśmy się podług mego zdania jedynymi faktycznymi posiadaczami całego terytorium po obu brzegach Daly, ponieważ o ile mi wiadomo, nie ma tam już więcej ani kawałka gruntu, zdatnego do uprawy. Obszar nawet nam wydierżawiony składa się w pewnej części z miejscowości jałowych, ale większość jego są to grunta dość żyzne, chociaż porośnięte drzewami i krzakami.

Dotychczasowa stacya missyjna na lewym brzegu rzeki Daly, która z powodu nieurodzajności gruntu nie nadawała się wcale na rezydencyę missyjną, zostanie obecnie przeniesioną na prawy brzeg rzeki, o 15 kilometrów bliżej ku morzu. W przedsięwzięciu tem ogromna łódź na 9 metrów długa, zbudowana przez Brata Scharmera, odda nam znaczne usługi.

Ponieważ materiał niezbędny do budowy nowej stacyi missyjnej znajduje się w pobliżu, więc spodzie-



Dalmacya. — Knin, dawna stolica kroackiego państwa; podług fotografii. (Zob. str. 154 i nast.).

wamy się, że w przeciągu kilku miesięcy zdołamy ją ukończyć. Nowy dom będzie się wznosił na podmurowaniu, mającem 13 metrów wysokości, o kilka kroków od miejsca, w którym rzeka z północnego-wschodu zwraca się na południowy zachód.

Miejscowość ta, jak sądzę, nadaje się wybornie do utworzenia kolonii, w którejby biedni nasi dzicy osiedli stale i zaprawiali się do rolnictwa. Czy jednak rychno wybije godzina, gdy z ludzi na tak niskim stojących poziomie zdjętą zostanie kłątwa, która na nich ciążyć się zdaje, tego my, jako ludzie, stanowczo określić nie możemy. Jeżeli pomimo rozmaitych trudności jestem niezmiernie zadowolony i szczęśliwy z nowego

mego posterunku, to źródłem tego zadowolenia jest głębokie przekonanie, że człowiek nie może nic uczynić piękniejszego i lepszego, jak pełnić, o ile zdoła, wolę Pana Boga.

Stacya missyjna pod wezwaniem Najśw. S. Jezusowego ostatecznie się już zagospodarowała. Oto mamy tam około 250 kóz, których ilość niebawem się podwoi, 30 krów, 12 koni i 8 osłów. Wskutek tego możemy w szkółce naszej utrzymywać, wychowywać i kształcić przeszło 20 dzieci.

Dla użyznienia ogrodu, zbudowaliśmy w ostatnich czasach turbinę, która pompując ciągle wodę z pobi-

skiego jeziora, rozlewa ją w miarę potrzeby po ogrodzie, a zarazem dostarcza jej dla naszego domu i stajen.

Nie śmiem atoli łudzić się nadzieją powodzenia mej pracy, gdyż krajowcy odznaczają się po większej części zupełną obojętnością względem świętej naszej wiary.

IV.

Stacya missyjna św. Józefa nad Daly-River
w Północnej Australii,
we czwartek dnia 26 listopada 1891 r.

W kilku ostatnich miesiącach, w missyi naszej ogromne dokonały się zmiany. Nietylko bowiem stacya Królowej Różańca świętego została przeniesioną z lewego brzegu górnej Daly na prawy brzeg tejże rzeki, ale nawet stacya Najśw. S. Jezusowego takiemuż samemu uległa losowi. Wreszcie niebawem przywiezie nam parowiec wszystkie głównejsze przedmioty, należące do trzeciej stacyi missyjnej Port-Darwin.

Obecnie w nowej stacyi św. Józefa znajduje się czterech Ojców i siedmiu Braci. O. Strele został mianowany administratorem dyecezyi Palmerston, dokąd też jeździ niekiedy O. O'Brien z Bratem Eberhardem. Pragnąc zabezpieczyć się o ile możności od deszczu i słoty, zbudowaliśmy budynki, niezbędne dla missyi. Niemal wszystkie pokryliśmy galwanizowaną blachą żelazną. Mamy więc już kaplicę z Przenajśw. Sakramentem, szkołę, sypialnię dla dziewcząt, dwie sypialnie dla chłopców, warsztaty dla stolarzy i kowali, porządne spichlerze służące do przechowywania zapasów żywności i narzędzi rolniczych, kurnik z 70 kurami i stodołę dla kóz z 570 rogatemi lokatorkami, dostarczającemi nam mięsa i mleka. Prócz tego zaczęliśmy budować oborę dla 40 krów, nieco później 14 naszych koni i 7 osłów, będą miały również osobne dla siebie schronienie.

W pobliżu missyjnego domu, będącego już na ukończeniu, zbudowaliśmy dla naszych biednych dzikich 6 chałup, do każdej zaś z nich należy spory kawał gruntu, aby rodziny krajowców, które w tych chatkach zamieszkują, zaprawiały się stopniowo do rolnictwa. Obszar na 360 metrów długi i 120 metrów szeroki, który przed kilkoma jeszcze miesiącami dziewczęcy las pokrywał, został obecnie wykarczowany przy pomocy krajowców, wkrótce zaś może w urodzajne zamieni się pole. Materyalna więc strona missyjnej naszej działalności dość korzystnie się przedstawia, ale niestety strona moralna, będąca głównym celem apostolskich trudów, wiele pozostawia do życzenia.

W każdym razie sumienie pozwala nam powiedzieć, że missya nasza uczyniła wszystko, co tylko mogła, aby wydobyć biednych dzikich ze smutnego stanu ich moralnego upadku. W chwili obecnej szkołka nasza posiada 25 uczniów, ale niestety, brak materyalnych

środków nie pozwala na przyjęcie większej ilości. Przyszłość też dopiero pokaże, czy nawet ta nieliczna garstka zechce pozostać w szkole, gdyż od czasu do czasu zamiłowanie nieograniczonej swobody, skłania naszych uczniów do ucieczki. W pierwszych dniach bieżącego miesiąca kilkoro dzieci szkolnych wbrew naszej woli, zapragnęło wykąpać się w rzece. Ale niestety, ogromny aligator skorzystał z tej okoliczności, porywając najmłodszego z chłopców, sześciolatniego Rafała. Inni chłopcy widzieli jeszcze, jak mały ich towarzyszy znikł w paszczy groźnego potwora, ale uratować go nie zdołali.

V.

Stacya missyjna św. Józefa nad rzeką Daly-River
w Północnej Australii, dnia 16 lutego 1892 r.

I znowu przeszło parę miesięcy upłynęło od chwili skreślenia ostatniego mego listu, niosąc ze sobą jak zwykle trochę radości i pociech, lecz zarazem trochę kłopotów i smutków. Działwa, kształcąca się w ubogiej szkółce missyjnej, zaczyna już czytać, chociaż bardzo powoli, w nauce zaś pisania przezwyciężyła również pierwsze największe trudności.

Najbardziej pocieszającym jest to, że większa część naszych uczniów zrobiła już tak znaczne postępy w nauce religii, iż niebawem będzie mogła przystępować regularnie do Sakramentu Pokuty.

Za kilka dni odbędzie się pierwszy ślub chrześcijański. Nowożeńcy od lat najmłodszych kształcili się w szkole missyjnej, teraz zaś liczą oboje po lat niespełna szesnaście. Jako podarunek od missyi otrzymają mały ładny domek ze stajnią i ogródkiem. Oby za łaską Boga coraz częściej pomiędzy krajowcami chrześcijańskie zawierały się związki! Jedyną atoli w tej mierze nadzieję pokładamy na małżeństwach pomiędzy młodzieżą wychowywaną przez missyę.

Od dorosłych w tej mierze nie wiele możemy się spodziewać, gdyż występne obyczaje i nałogi, zbyt głęboko zakorzenione w ich sercach, wiodą do niechybnej zguby.

Tak na przykład, w ubiegłą sobotę pewien młodzieniec został zdradziecko zamordowany przez trzech nieprzyjaciół, którzy napadłszy nań niespodzianie, przebili go włóczniami.

Rok temu właśnie, tenże sam młodzieniec, posprzeczawszy się z własnym ojcem o jakąś drobnostkę, zamordował go w chwili uniesienia, poprzednio zaś, wiedziony uczuciem zemsty, groził śmiercią naszemu Przewielebnemu Ojcu Przełożonemu. Zbrodniczy ten zamiar atoli wyszedł zawczasu na jaw, tak, że złoczyńca nie mógł go doprowadzić do skutku. Raz rzucił się na mnie z włócznią w rękę, szczęściem jednak spostrzegł to inny krajowiec i wytrącił mu ją z dłoni.

Śmierć na umysły tych dzikich zdaje się najmniejszego nie wywierać wrażenia. Pierwszą wiadomość o zgo-

nie najbliższych swych krewnych przyjmują zupełnie obojętnie, jak gdyby to wcale ich nie obchodziło.

Z drugiej strony każdemu pogrzebowi towarzyszą okropne jęki, wycia, kurczowe tarzanie się na ziemi, a nawet uderzanie aż do krwi po głowie i grzbiecie, oraz inne również barbarzyńskie i dzikie oznaki boleści, nie dające się niemal opisać. Skoro tylko jednak ceremonia pogrzebowa ukończoną zostanie, wówczas wraca wszystko do zwykłego trybu i rodzina zdaje się zupełnie zapominać o zmarłym. (C. d. n.).

Męczennicy chińscy z Zakonu Kaznodziejskiego

zaliczeni w poczet Błogosławionych 1893 r.

(Ciąg dalszy).

II.

Prace apostołskie męczenników i ich uwięzienie.

Wyżej powiedzieliśmy, że pięciu misjonarzy z zakonu św. Dominika, zanim się udało na misję chińską, przebywali czasowo w Manilli dla wyuczenia się chińskiego języka i obznajomienia ze stosunkami kraju, w którym mieli pracować. W krótkim stosunkowo czasie tak prędkie zrobili postępy, iż O. Piotr Sanz i O. Royo mogli r. 1716 wyjechać do Chin a mianowicie prowincji Fo-Kien. Za nimi w lat parę później przybyli i inni misjonarze, a między nimi znajdujemy OO. Franciszka Serrano, Jana Alcobera i Franciszka Diaza.

Szczupłe mamy pomniki działalności powyższych sług Bożych, w każdym razie musiała być bardzo gorliwą, skoro O. Sanz został mianowany przez Stolicę świętą biskupem, a O. Serrano jego koadjutorem.

Jakież stan misji był podówczas w Chinach? Historia nam mówi, że w dniu 20 grudnia 1720 r. umarł w Pekinie cesarz Kang-Hi. Za jego 60-letnich rządów misja w Chinach doszła do niebywałej przedtem świetności. Był to jednak spokój, poprzedzający burzę. Już zaraz za jego następcy cesarza Jong-Czing (1720—1735) zbierały się ciężarne chmury i raz po raz chrześcijan spotykały dotkliwe ciosy prześladowania. Jednak do dłuższego krwawego znęcania się nad wiernymi przyszło dopiero za rządów cesarza Kien-Longa (1736—1796) w prowincji Fo-Kien, pola działalności misyjnej Ojców Dominikanów.

Oto wicekról Fo-Kien, Czeu-Hio-Kien, zaciekle nieprzyjaciół i prześladowców chrześcijan, zastawiał sidła na katolickich misjonarzy, którzy na mocy dekretu cesarza Jong-Czinga z r. 1728, utrzymującego się jeszcze wówczas w całej swej sile, nie mieli prawa wkraczać na terytorium Chińskiego Państwa. Jednak wskutek życzliwości miejscowych mandarynów, którzy już od lat wielu nauczyli się cenić chrześcijan, jako najposłuszniej-

szych i najspokojniejszych swych podwładnych, misjonarze przez czas długi ukrywali się szczęśliwie w grocie nader licznych wyznawców Chrystusa. Wreszcie w czerwcu 1746 r. jeden z chińskich uczonych, odznaczający się nieubłaganą nienawiścią względem wszystkich, co chrześcijańskie, wręczył wice-królowi petycję, w której się uskarżał na zbyt dużą tolerancję obcej, europejskiej religii, domagając się zarazem energicznego wystąpienia przeciwko cudzoziemcom.

Natychmiast, po odczytaniu powyższej petycji, wice-król wydał rozkaz aresztowania misjonarzy i wysłał do Foganu, stałego miejsca ich pobytu, jednego ze swych oficerów, imieniem Fan, który dowodził silnym oddziałem żołnierzy. Dowiedziawszy się o tem, dwaj poczciwi chrześcijanie wyruszyli potajemnie do pobliskiej wsi Moyangu, gdzie się ukrywali misjonarze, aby ich zawiadomić o grożącym niebezpieczeństwie. Niestety, obaj wpadli w ręce siepaczy, którzy tegoż samego dnia o godzinie 11 wieczorem przybyli do wioski. Natychmiast też gromada pogan wtargnęła do kilku chrześcijańskich domów, aresztując ich mieszkańców, ale X. biskup Sanz, zbudzony tę wrzawą, zdołał jeszcze zawczasu uratować się ucieczką. Wszedłszy do jego pokoju, żołnierze znaleźli tam tylko książki i naczynia kościelne, upragniona zaś zdobycz wymknęła się z dłoni. Wówczas rozgniewany oficer rozpoczął indagację jednej z aresztowanych, dwiętnastoletniej dziewczyny, imieniem Maryi.

— Gdzie są Europejczycy? — zapytał surowo,

— Nie wiem — brzmiała odpowiedź.

— Hej! weźcie ręce jej w kleszcze — zawołał oficer do swych oprawców — może tortury nauczą ją mówić.

Atoli młoda bohaterka zniosła w milczeniu katusze, okazując nawet widoczną radość z tego, że cierpi dla Chrystusa.

— Czy nie wiesz, że mogę skazać cię na śmierć? — zapytał wreszcie rozjątrzony Fan.

— Oto moja głowa — odparło nieustraszone dziewczę — utnij ją, a największą sprawisz mi przyjemność.

Tymczasem O. Alcober, widząc grożące niebezpieczeństwo, usiłował wymknąć się tylnymi drzwiami, ale niestety, spostrzeżono go i schwytano. Widząc to, kilku odważnych chrześcijan rzuciło się na prześladowców, aby oswobodzić misjonarza, lecz on stanowczo oparł się temu. Napróżno Fan starał się za pomocą tortur wydobyć zeń zeznanie o miejscu pobytu X. biskupa Sanza, żadne bowiem męczarnie nie zdołały skłonić O. Alcobera do tak nieszlachetnego kroku.

Wreszcie o świcie ze 14 uwięzionymi chrześcijanami wysłano go do Foganu, ale przebyte katusze wyczerpały tak dalece siły dzielnego wyznawcy, że go aż nieść musiano. Po przybyciu do Foganu, chrześcijanie zostali osadzeni w więzieniu, a O. Alcober w domu

zaczego i życzliwie dla misyjnarzy usposobionego gubernatora tego miasta, znalazł gościnność wraz z troskliwą opieką.

W kilka dni potem jeden z więźniów, który już oddawna z powodu nagannego życia stał się niegodnym nazwy chrześcijanina, zdradził, że misyjnarz ukrywał się przez czas długi w domu pewnej wdowy, osadzonej również w więzieniu. Odtąd zaczęto znęcać się w sposób nieludzki nad przyaresztowanymi kobietami, aby za pośrednictwem tortur wymócić na nich jakiegokolwiek zeznanie. — Wszystkie atoli okazały tym razem niezłomną moc charakteru, z wyjątkiem jednej, która bojąc się cierpień fizycznych, wyznała wszystko co wiedziała. Okropna indagacja trwała do późnej nocy, Fan zaś złożył przytem dowody tak niesłychanego okrucieństwa, że nawet poganie ubolewali nad losem nieszczęśliwych więźniów. Wkrótce też pomiędzy nieludzkim oficerem a gubernatorem, wywiązało się z tego powodu gwałtowne nieporozumienie, Fan bowiem wyrzucał swemu koledze niedbalstwo i lekceważenie obowiązków, ten go zaś nawzajem nazwał barbarzyńcą.

W nocy rozpoczęła się znowu prawdziwa oblawa na pozostałych misyjnarzy. Wielu chrześcijan, którym Fan chciał zapomocą tortur otworzyć usta, dochowało niezachwianie tajemnicy, ale nakoniec jakaś dziewczyna przerażona okropnością katuszy, wskazała siepaczom kryjówkę misyjnarzy pod podłogą pewnego domu.

Rzeczywiście żołnierze znaleźli tam X. biskupa Serrano i O. Diaz'a, którzy nie chcąc pominąć żadnego środka ocalenia swego życia dla dobra chrześcijan, ofiarowali im pewną kwotę pieniężną, jako okup za siebie. Z początku oprawcy przyjęli chętnie tę propozycję, później jednak bojąc się widocznie gniewu swego dowódcy, oddali mu otrzymane przed chwilą pieniądze. Natychmiast też Fan kazał schwycić obu misyjnarzy i przyprowadzić do siebie.

— Gdzie jest biskup? — zapytał gniewnie.

— Nie wiemy — odparli więźniowie, odpowiedź zaś ich najzupełniej zgadzała się z prawdą.

I tym razem, jak łatwo się domysleć, okrutny Fan nieomieszkał użyć tortur, uważanych przez Chińczyków za najpewniejszy sposób odkrycia prawdy, ale obaj misyjnarze milczeli.

Nie wszyscy wszakże stworzeni są na męczenników. Oto chrześcijanin, u którego X. biskup Sanz znalazł schronienie, zaczął się obawiać o własne bezpieczeństwo i spokój swej rodziny. Wiedział on dobrze, jaki los go czekał, gdyby w jego domu znaleziono X. Biskupa, a niestety, lada chwila mogło to nastąpić. Dlatego też zwrócił uwagę czcigodnego pasterza na to, że tylu chrześcijan za niego już ucierpiało, jak na przykład katechista Ambroży, który nietylko z tego powodu stracił wolność i całe mienie, ale nawet cztery razy brany był na tortury.

— Bądź spokojny — odrzekł na to X. Biskup

i wyszedł z domu, noc zaś całą spędził w sąsiednim ogrodzie. Po dwakroć oprawcy wysłani za nim w poгон, przechodzili tuż obok niego, ale chociaż X. Biskup zasłonił się tylko niewielkim wachlarzem, nie spostrzegł go wszakże, czy też nie poznali. Nie chcąc jednak ściągnąć nowych klęsk na nieszczęśliwą swą trzodę, szlachetny pasterz postanowił nazajutrz rano oddać się dobrowolnie w ręce wrogów, co też istotnie się stało. Za przykładem X. biskupa Sanz'a poszedł niebawem Ojciec Royo ostatni z pozostałych misyjnarzy i wkrótce potem tryumfujący Fan wraz z upragnioną zdobyczą powrócił do Foganu.

Nazajutrz rano podczas przesłuchiwania świadków świątobliwe dziewice z Trzeciego Zakonu św. Dominika, którzy misyjnarze zakładali wszędzie w swych misjach, złożyły dowody niesłychanego męstwa i odwagi. Gdy zepsuty moralnie oficer pozwolił sobie na parę sarkastycznych uwag z powodu kapłańskiego celibatu, wówczas oburzony O. Alcober uniósł się słusznym gniewem i zawołał: »To pytanie godne prawdziwego sługi szatana, nie zasługuje na odpowiedź«. Ze swej strony sędziwy X. biskup Sanz skorzystał z tej sposobności, aby wyłuszczyć licznym słuchaczom głównejsze prawdy wiary świętej z takim zapałem i tak porywającą wymową, że wszyscy obecni z uwielbieniem słuchali go dopóty, dopóki głos mu wreszcie nie odmówił posłuszeństwa.

Wkrótce potem wysłano wyznawców do Fu-Czeu-Fu, stolicy prowincji Fo-Kien. Rozrzewniająca była chwila ich przybycia. »Gdy ci Europejczycy, obciążeni kajdanami, wkroczyli do stolicy — pisze wice-król w sprawozdaniu przesłanem królowi — ogromne tłumy ludności pospieszyły na ich spotkanie, poczytując sobie niemal za zaszczyt, że mogą im towarzyszyć. Wielu mieszkańców czepiało się dyszla u wozu, zalewając się rzewnymi łzami na widok jeńców, kobiety i dzieci padały przed nimi na kolana, lub podawały im owoce i orzeźwiające napoje, wszyscy zaś chcieli przynajmniej dotknąć rąbka szat więźniów, oraz pełnemi zapału witali ich okrzykami. Pewien nawet uczony, imieniem Czyng-Sieu, stanąwszy na czele niezliczonego tłumu, wypowiedział głośno do skazańców następujące słowa: »Nie bójcie się śmierci, bo cierpicie dla Boga!« okrzyk zaś ten tak wielką natchnął ich odwagą, że później wśród największych męczarni wołali nieraz jednogłośnie: »Postanowiliśmy raczej wszystko wycierpieć, niż wyrzec się swej wiary«. Tyle głosi sprawozdanie skreślone przez wice-króla Fo-Kienu.

Naturalnie, obok rozrzewniających oznak braterskiej miłości i współczucia, nie brakło też szyderstw i obelg ze strony brutalnych żołnierzy i fanatycznej ludności pogańskiej: »Oto przeklęci czarownicy, synowie szatana!« — mawiali zwykle poganie o misyjnarzach. Najbardziej atoli bolały ich oszczerstwa i haniebne

potwarze, rozsiewane starannie przez nieubłaganych prześladowców. Pomimo tego, nawet pomiędzy poganami znalazło się wielu takich, którzy okazując przyszłym męczennikom serdeczną sympatię, odzywali się niekiedy do swych współwyznawców:

»Wystarczy spojrzeć na tych nieszczęśliwych, aby się przekonać o ich niewinności. Ludzie bowiem, którzyby popełnili takie zbrodnie, o jakie ich oskarżają, nie mogliby tak głębokiego dla siebie nakazywać szacunku«.

W stolicy z niecierpliwością oczekiwał wice-król bohaterskich misyjonarzy i natychmiast po ich przybyciu rozpoczął indagację, która trwała aż do 7 godziny rano. Wówczas też X. Biskup Sanz wygłosił prześliczną przemowę, godną zaiste aktów męczeńskich z pierwszych wieków chrześcijaństwa i spokojnie, a nawet z godnością wykazał w niej bezpodstawność zarzutów, czynionych sobie, oraz swym towarzyszom.

— Mylicie się — zawołał — twierdząc, że otrzymujemy z Europy pieniądze na podstępne nawracanie Chińczyków, lub knucie intryg przeciw ich monarsze. Z Europy przysyłają nam tyle tylko, ile potrzeba na nasze utrzymanie, jedynym zaś środkiem używanym przez nas w celu nawracania krajowców, jest tłumaczenie im zasad świętej naszej wiary. Chrzcimy też tych wyłącznie, którzy tego pragną i sami o to proszą. Chiny dlatego jedynie odrzucają dotąd prawdziwą wiarę, że jej nie znają, powinni zaś poznać ją koniecznie, gdyż chodzi tu o szczęście lub zgubę wiekiastą, o niebo lub piekło. Zatwardziały w swych błędach czeka ogień wieczny, od którego ani władza, bogactwo i potęga, ani nawet najwyższe dostojęstwa zabezpieczyć nie zdołają. I ty także dostojny panie, dodał X. biskup Sanz zwracając się do swego sędziego, nie zostaniesz wyjęty z pod tego powszechnego prawa, pomimo całej swej potęgi i wysokiego stanowiska, które ci za grobem na nic się nie przyda. Wówczas tylko zdołasz ująć kary, jeżeli uznasz prawdę i zechcesz się nawrócić.

Nigdy jeszcze wice-król nie usłyszał słów tak śmiałych i prawdziwie apostołskim nacechowanych zapalem. Pieniąc się z gniewu, kazał wymierzyć czcigodnemu wyznawcy 25 policzków, poczem wydał rozkaz, aby umieszczono jeńców w rozmaitych miejskich więzieniach.

Dnia 30 lipca stawiono wyznawców przed właściwym trybunałem karnym. Nie podzielać bynajmniej wrogich dla chrześcijan przekonań wice-króla, sędziowie okazywali więźniom należny szacunek i współczucie, a nawet gdy jeden chrześcijanin z obawy tortur wyrzekł się swej wiary i oświadczył, że dlatego tylko jest chrześcijaninem, iż go rodzice wychowali w tej religii, wówczas jeden z sędziów zawołał z oburzeniem, że takie lekceważenie nauk, oraz przykładu rodziców, świadczy o złem lub zepsutem sercu.

Coraz też bardziej cały proces przybierał tak po-

myślny dla wyznawców obrót, jakiego oficer Fan, będący duszą ówczesnego prześladowania chrześcijan, bynajmniej sobie nie życzył. Dlatego też nie omieszkął wystąpić z głównym najcięższym zarzutem, głosząc, że misyjonarze mordowali malutkie dzieci, aby z ich główek przyrządzać czarodziejskie środki, w niemoralnych używane celach. Na poparcie swego twierdzenia dodał, iż w rezydencji misyjnej znaleziono nawet skrzynię z kośćmi dziecięcymi, ale Ojcowie łatwo wykazali bezzasadność i śmieszność tego twierdzenia.

— Jeżeli więc nie używacie tych kości w czarnoksiężkich celach — zapytali sędziowie — to po cóż tak starannie je przechowujecie.

»Na to misyjonarze odparli, że są to relikwie jednego z ich poprzedników, świętobliwego i bogobojnego człowieka, umęczonego około roku 1644 za panowania dynastji Ming. Zwłoki te, dodali, zamierzaliśmy przesłać do Europy, aby spoczęły w ojczyźnie tego męczennika«.

Zaciekawieni sędziowie trybunału, zapragnęli zobaczyć tajemniczą skrzynię i znaleźli w niej istotnie kości już zupełnie niemal spróchniałe i w proch się rozsypujące, z czego Fan wnioskował, iż dziecięce muszą to być zwłoki. Atoli rzeczoznawcy państwowi, których tam również wezwano, oświadczyli stanowczo, że są to kości człowieka, zmarłego przynajmniej przed stu laty.

Twierdzenie powyższe zgadzało się najzupełniej ze świadectwem misyjonarzy, przy bliższym zaś zbadaniu znaleziono nawet wcale nieźle zachowany kawałek kręgu pacierzowego, który tylko do dorosłego mógł należeć człowieka.

Gdy więc Fan ciągle jeszcze powtarzał swój zarzut, sędziowie oskarżyli go nawzajem o dobrowolne i nieuczciwe przeinaczanie faktu, dodając, iż nie powinien zapominać o przepisach dawnych statutów, które jak najściślej wykonywać należy.

— Co do nas — zawołali — to nie chcemy obciążać swego sumienia winą, którą Niebo pomści na nas, lub na naszych potomkach.

Pomimo więc oporu Fana, skreślono natychmiast protokół o wynikach powyższego śledztwa i po podpisaniu go przez sędziów, załączono do aktów procesu, skrzynię zaś z kośćmi zamknięto starannie, oraz rządową opatrzone pieczęcią. Wkrótce potem wszystkie akta procesu zostały przedstawione najwyższemu prowincjonalnemu sądowi, który uwolnił misyjonarzy od wszelkich odpowiedzialności. Atoli rozgniewany Fan oskarżył sędziów o to, że się dali przekupić chrześcijanom, poczem za namową tego nikczemnika, wice-król bez dalszego śledztwa skasował wyrok, sprawę zaś powierzył innym sędziom dowolnie przez siebie wybranym.

Nowy ten proces rozpoczął się od aresztowania wielu chrześcijan, a między innymi pewnej kobiety, którą

przebiegły Fan zdołał nakłonić do odstępstwa, ażeby użyć jej następnie jako świadka przeciw missyjonarzom. Niebawem jednak nieszczęśliwa istota pożałowała gorzko swego występkę, poczem oskarżyła publicznie niegodziwego oficera, mówiąc, że ją swemi obietnicami na złą wprowadził drogę.

(Dok. nast.).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

Azya. — Kurdystan. O. Mafaral pisze z Kurdystanu:

»W ostatnich czasach udało mu się tam założyć dwie nowe szkoły, ale ponieważ mieszczą się one w pobliżu kościoła, z początku więc żydowscy i mahometańscy rodzice nie chcieli posyłać tam swych dzieci, bojąc się dla nich katolickiego wpływu. Muzułmański zwierzchnik duchowny, zwany *szeik-uł-islam* wydał nawet w tej mierze stanowczy zakaz do swoich podwładnych.

»Wkrótce potem — pisze O. Mafaral — wynająłem prywatne mieszkanie, leżące w muzulmańsko-żydowskiej dzielnicy. Był to dom, opuszczony już oddawna przez swych właścicieli i wydzierżawiony ubogim kurdyjskim rodzinom, łatwo więc się domyśleć, że w niezbyt świetnym znajdował się stanie. Przedewszystkiem przeto musiałem zabrać się do gruntownej jego naprawy, aby go uczynić o ile możności odpowiednim na szkołę. Cały dom składał się z kilku dużych salonów, nadających się wybornie na klasy. Najlepszy salon został przeznaczony dla synów zamożnych mieszczan, inne zaś dla dziatwy chrześcijańskiej i żydowskiej. W szkole tej dzieci uczą się czytać i pisać, jak również języków francuskiego, perskiego, arabskiego i chaldejskiego. Przedewszystkiem staramy się odosobnić dziatwę katolicką od dzieci innych wyznań, któreby na nią niekorzystny wpływ wywrzeć mogły. Resztę mieszkania zamieszkuje uboga rodzina, czuwająca nad porządkiem i czystością w całym domu, oraz na rozległym dziedzińcu, na którym dzieci zwykły się bawić podczas rekreacji.

»Obecność tej rodziny zabezpiecza również naszą szkołę od napaści ze strony złoczyńców, którzy w miastach tutejszych z powodu braku dobrze zorganizowanej policji, robią swobodnie co się im podoba.

»Dla dziewcząt, po większej części katoliczek, urządziłem szkołę w lokalu zajmowanym niegdyś przez chłopców, dotychczas jednak nie mogą zdobyć żadnej nauczycielki, w Kurdystanie bowiem niepodobna znaleźć ani jednej chrześcijańskiej niewiasty, umiejącej czytać i pisać. Większa część tutejszych chrześcijanek umie zaledwie Modlitwę Pańską, Pozdrowienie Anielskie i Skład Apostolski, dalej zaś zakres ich wiedzy nie sięga. Musiałem więc powierzyć dziewczęta opiece pewnej kobiety, umiejącej tylko trochę szyć, proboszcz zaś tutejszy przychodzi codziennie na godzinkę do szkoły dla dziewcząt, aby im udzielać lekcji katechizmu. W danej chwili nic więcej zdziałać niestety nie możemy».

W dalszym ciągu swego listu zacny missyjonarz wyraża nadzieję, że dzięki przyjaznemu usposobieniu władz rządowych, oraz wybitniejszych przedstawicieli miasta, posyłających swe dzieci do szkoły katolickiej, missya zdobędzie może wkrótce ogólne uznanie i szacunek. Z drugiej strony szkoła stanowi dla katolików pewną rękojmię bezpieczeństwa i spokoju na przyszłość. Zresztą zakład ten tem większe posiada znaczenie, że oddawna już w Sinahu istnienie missya protestancka, tocząca ciągłą walkę z muzulmańskimi mułłami, katolicy zaś tylko za pomocą szkół, mogą neutralizować zgubną jej działalność.

Zajmujący swój list kończy O. Mafaral prośbą o przysłanie Sióstr i Braci szkół chrześcijańskich. Zakonnice podwójny tu przyniosłyby pożytek, trudniąc się nie tylko kształceniem dziewcząt, ale

także pielęgnowaniem chorych; ponieważ zaś z łatwością znalazłyby wstęp do żydowskich i muzulmańskich domów, mogłyby więc ochrzcić mnóstwo konających dzieci, których tu corocznie bardzo wiele umiera.

Kochinchina północna. — Powrót książąt anamickich. W roku ubiegłym los dwóch książąt anamickich, osadzonych w więzieniu za niezachwiane wyznawanie świętej naszej wiary, uległ pewnej korzystnej zmianie, gdyż za wstawieniem się francuskiego rezydenta, który odwiedził więźniów w twierdzy Nghia-Din, zdjęto im kajdany. Ulga ta, wyjednana przez przedstawiciela europejskiego mocarstwa, nader silne na krajowców wywarła wrażenie i przechyliła opinię publiczną na stronę nieszczęśliwych jeńców. Dnia 11 kwietnia bieżącego roku wyszedł nawet dekret królewski, nakazujący uwolnić natychmiast obu książąt z więzienia i pod opieką honorowej eskorty odesłać do okolicy kraju w Hue. Atoli komendant twierdzy, otrzymawszy rozkaz nie przez gońców królewskich, jak się to dotąd zdarzało, ale za pośrednictwem depeszy, nie wierzył z początku w jego autentyczność.

Pragnąc więc uniknąć wszelkiego zarzutu co do lekceważenia woli monarszej, starał się nakłonić obu książąt do podpisania petycji, w którejby więźniowie prosili sami o przedłużenie na parę tygodni pobytu ich w tej twierdzy. Gdy zaś książęta nie dali się nakłonić do takiego kroku, sprzeciwiającego się wyraźnym rozkazom królewskim, wówczas przebiegły mandaryn chwycił się innego środka. Oto wysłał do Hue gońca z prośbą o odłożenie wyjazdu książąt na parę tygodni, gdyż jak głosił, stan zdrowia jednego z jeńców konieczne tego wymaga. Jednocześnie wysłał też książąt pod opieką dziesięciu żołnierzy do najbliższej chrześcijańskiej gminy, prosząc mieszkańców o udzielenie im schronienia dopóty, dopóki stan chorego nie polepszy się o tyle, iż będzie mógł w dalszą wyruszyć podróż. Dopiero po 17 dniach wrócił gońiec z potwierdzeniem rozkazu królewskiego i dnia 30 kwietnia młodzi książęta wraz z eskortą, złożoną z kaprała i czterech żołnierzy, wyruszyli w drogę do Hue, a wkrótce potem za pozwoleniem królewskiej prefektury wrócili »prowizorycznie« na łono rodziny.

W rzeczywistości więc rozkaz królewski nie został ściśle spełniony, gdyż najwyższy trybunał, pomimo gorliwych zabiegów ze strony francuskiego rezydenta, zastrzegł sobie prawo wytoczenia mężnym wyznawcom nowego procesu i tylko na czas pewien pozwolił im wrócić do rodzinnego ogniska. W danej chwili stan zdrowia księcia Szen poważne budzi obawy, książę zaś Te wie-dzie ciche życie, poświęcone całkowicie miłosiernym uczynom, nie wstydząc się nawet pomimo wysokiej swej godności uczyć dzieci w parafii katolickiej i pielęgnować chorych. Wszyscy też zresztą książęta pozbawieni tak niesłusznie dochodów swych i przywilejów, stanowią prawdziwy wzór pobożnych i gorliwych wyznawców Chrystusa. O uwięzieniu książąt anamickich obszerniej pisaliśmy w naszych *Missyach* r. 1892, str. 331 do 336.

Indye wschodnie. — Szpital św. Józefa dla trędowatych w Mangalorze (Południowa Kanara). Ze sprawozdania O. Müllera, dyrektora szpitala w Mangalorze, wyjmujemy następujące ustępy:

»Rok 1893 zaznaczył się nader pomyślnie w dziejach rozwoju naszego przytuliska. Przedewszystkiem nabyliśmy za 262 rupieje i 11 asów kilka akrów gruntu, leżącego w pobliżu szpitala, tak, że w danej chwili posiadłość nasza obejmuje przeszło 10 akrów przestrzeni. Nadto w przeciągu roku ubiegłego zbudowaliśmy w niewielkiej odległości od naszego zakładu kilka domków dla trędowatych, wykarczowaliśmy trzcinę i krzewy na całej przestrzeni świeżo nabytego gruntu, uprawiliśmy rolę, a nawet zasadziliśmy 150 palm kokosowych i innych drzew, które chociaż jeszcze młode i niedawno na obcy grunt przeniesione, wzrastają jednak wybornie i zaczną niebawem wydawać owoce. Teraz już zresztą rozpóścierają one miły

cień dokoła, co w kraju tak gorącym jak tutejszy, nader ważną i pożądaną jest rzeczą. Pomimo, że się staramy o ile możliwości ograniczyć nasze wydatki, niwelacja wszakże świeżo nabytych gruntów i opasanie parkanem $\frac{3}{4}$ części naszej posiadłości, wielkie za sobą pociągnęły koszta. Parkan zaś taki bezwarunkowo był niezbędny dlatego, aby znajomi i krewni trędowatych nie dostarczali im ukradkiem trunków i innych rzeczy, surowo w szpitalu wzbronionych.

„Pod względem materialnym stan naszego przytuliska w roku ubiegłym niezbyt korzystnie się przedstawiał. W przeciągu całego roku otrzymaliśmy zaledwie 1451 rupij i 10 asów zasiłku od mieszkańców Mangaloru, oraz 694 rupij i 8 asów od dobroczyńców z zagranicy, ogólna zaś cyfra wydatków dosięgła kwoty 5193 rupij i 2 asów. Przez czas niejaki należało nawet się obawiać, że wsparcia udzielane nam dotąd przez litościwe osoby, zredukują się niemal do zera, a to skutkiem fałszywego wytłumaczenia słów J. E. lorda Wenlock'a, wypowiedzianych podczas jego ostatniej bytności w Mangalorze.

„Dnia 22 października roku ubiegłego lord Wenlock wraz ze swą zacną małżonką, panem Power, skarbnikiem naszego zakładu, tudzież kilkoma innymi Europejczykami, zamieszkałymi w Mangalorze, zwiedził nasze przytulisko, badając jak najdokładniej wszelkie wewnętrzne i zewnętrzne warunki jego egzystencji.

„Po zwiedzeniu całego zakładu, nie wyłączając łazienek, oraz zadaniu rozmaitych pytań nieszczęśliwym jego mieszkańcom, Jego Ekscelencya wyraził głośno swe zadowolenie ze wszystkiego, co widział i słyszał. Po odejściu męża, lady Wenlock przybyła raz jeszcze do naszego szpitala, odczytała sprawozdanie z roku poprzedniego i po długiej rozmowie z dyrektorem zakładu, powtórzyła wyrazy gorącego uznania dla wszystkich kierowników tego przytuliska. Dowiedziawszy się zawczasu o rychłym przybyciu znakomych gości, trędowaci przyzdobili o ile możliwości skromne swoje schronienie i przywdziali stroje odświętne, przysłane im wspaniałością przez p. S. F. Brito.

„Biedni ci ludzie, wyrzuceni z łona własnego społeczeństwa i wstrętny niemal przedstawiający widok, byli wzruszeni do głębi serdeczną troskliwością, jaką im okazał lord Wenlock i zacna jego żona. Nazajutrz rano gmina katolicka wręczyła Jego Ekscelencyi adres, w którym się też znajdowała krótka wzmianka o naszym zakładzie.

„Odczytawszy ten adres, lord Wenlock oświadczył, że obecny stan szpitala dla trędowatych w Mangalorze nic nie pozostawia do życzenia. Niestety, słowa jego wytłumaczono sobie fałszywie, mówiąc, że zakład nasz nie potrzebuje już żadnego wsparcia, i że zbytecznym byłoby troszczyć się nadal o jego egzystencję. Dowiedziawszy się o tem, lady Wenlock napisała do nas natychmiast, co następuje:

„Przykro mi bardzo, że tak mylnie zrozumiano słowa mego męża, który wyrażając uznanie dla waszego zakładu, nie miał wcale na myśli, iż nie potrzebuje on żadnego zasiłku, owszem znalazł, że wsparcie udzielane mu dotychczas jest bezwarunkowo za szczupłe. Mąż mój zwiedził już wiele szpitali dla trędowatych i twierdzi, że nigdzie może kuracja tych nieszczęśliwych nie odbywa się tak racjonalnie, jak w Mangalorze, gdzie lekarstwa, kąpiele, dyeta i inne środki higieniczne wielką biednym chorym przynoszą ulgę. Zbytecznym też byłoby mówić, że gorliwość i zaparcie się siebie kierownika tego zakładu, O. Müller'a, na jak największą zasługę pochwałę.

„Wkrótce po skreśleniu tego listu JE. lady Wenlock wyprawiła dla biednych trędowatych wspaniałą ucztę, za przykładem zaś jej poszli niebawem p. E. Holmes, czcigodna przełożona klasztoru św. Anny i kilku innych dobroczyńców naszego zakładu, którzy nam dostarczyli rozmaitych zapasów żywności.

„Nie brakło jednak w roku ubiegłym i wielu niemiłych epizodów, najsmutniejszym zaś z nich była ucieczka kilku trędowatych. Pewnego rana we wrześniu trzech chorzy opuścili potajemnie szpital,

zabrawszy ze sobą parę nowych ubrań, prześcieradeł, sandałów i t. p. przedmiotów, a nawet zachodziła obawa, że zgubny ten przykład więcej jeszcze znajdzie naśladowców. Dzięki atoli energii naszego skarbnika p. G. F. T. Power'a, jak również superintendenta policyjnego p. Stewart'a Miller'a, wszyscy trzej przywłaszczyciele cudzej własności zostali schwytani niemal na gorącym uczynku i skazani na parę tygodni więzienia. Naturalnie po odsiedzeniu tej kary nie przyjęliśmy już ich do zakładu.

„Pan Stewart Miller oddał również wielką usługę całemu miastu Mangalore, wzbraniając surowo trędowatym żebrać na ulicach, nietylko bowiem widok ich był wstrętny dla wielu mieszkańców, ale nawet zetknięcie się z tymi nieszczęśliwymi groziło wielu zdrowym zakażeniem tak okropną chorobą.

„Pielęgnowanie naszych trędowatych, oraz udzielanie porady lekarskiej chorym, przybywającym z miasta i jego okolic, powierzyliśmy w ostatnich czasach młodemu asystentowi medycznemu, pobierającemu 45 rupij miesięcznie za swoje usługi. Obowiązkiem jego jest zwiedzać codziennie wraz ze mną całe przytulisko, oraz przyjmować pacyentów w naszym lokalu od godziny 9 do 12 rano i od 3 do 6 popołudniu. Ilość chorych, zgłaszających się do naszego domowego lekarza wynosi około 600 osób miesięcznie, $\frac{3}{4}$ zaś tych pacyentów darmo otrzymuje lekarstwa. Co do kuracji trędowatych, to polega ona przeważnie na udzielaniu im homeopatycznych lekarstw Mattei'ego, codziennych nacieraniach i natryskach zimną wodą i ciepłych kąpielach, urządzanych każdego tygodnia. Nadto jako środków zewnętrznych używamy na rany wazyliny, fenilu i *hydrastis*, członki naszych chorych dotknięte już trądem, ale jeszcze nie pokryte ranami, leczymy za pomocą *chrysarobiny*, w razie zaś febry lub dysenterji każemy zażywać naszym pacyentom niewielkie dawki homeopatycznych lekarstw.

„Najlepsze światło na obecny stan naszego przytuliska rzucają słowa przytoczone przez nas powyżej z listu lady Wenlock. Nadto wiele innych osób oddawna już uznało, że trędowaci cieszą się w mangalorskim szpitalu daleko większą, niż gdzieindziej troskliwością i opieką; względnie zadawalniający stan ich zdrowia, przypisać należy lekarstwu Mattei'ego i częstym kąpielom, na które głośno kładziemy nacisk.

„Na zakończenie dodać muszę, że z radością witamy zawsze na naszych progach osoby łaskawie chcące nas odwiedzić i z serdeczną wdzięcznością przyjmujemy wszelkie ofiary na korzyść biednych trędowatych, tembardziej, że coraz więcej tych nieszczęśliwych zgłasza się obecnie do naszego szpitala.

Ameryka. — Misja w Górach Skalistych. — Chrzt u Indian z plemienia Arapahów. Indianie, należący do plemienia Arapahów, wiodą jeszcze dotychczas koczownicze życie w Górach Skalistych, a zwłaszcza w niektórych zakątkach Stanu Wyoming. Plemię to rozpadło się już oddawna na trzy odrębne plemiona Indian Szyjetsojów w Stanie Montana, południowych Arapahów na terytorium indyjskim i Arapahów środkowych w Stanie Wyoming, o których właśnie mówimy. Nie łatwa to rzecz zaiste pracować nad nawróceniem tych dzieci lasów, stojących na nader niskim moralnym poziomie.

Oto w jaki sposób O. Vasta z misyi św. Stefana we Fremont-Co maluje nam w swem sprawozdaniu początek apostolskiej działalności wśród tego plemienia:

„Po dwumiesięcznym pobycie w naszej misyi udało mi się wreszcie ochrzcić pierwszą dorosłą osobę. Pewnego wieczora doniesiono mi, że żona Indianina, przezwana Białym Bykiem, niebezpiecznie zachorowała. Nazajutrz więc rano wsiałem na konia i podążyłem do biednej chorej.

„Po przybyciu do celu wycieczki, znalazłem starą Skaw, tak bowiem nazywała się Indyanka, leżącą na macie, która w ubogich indyjskich szałasach zwykle zastępuje łóżko. Ponieważ dotychczas biedni krajowcy nigdy mię nie widzieli, nietylko więc sześcioro

dzieci Białego Byka, ale nawet chora ich matka i strapiiony ojciec ze zdumieniem we mnie się wpatrywali. Co do mnie, to powitawszy dorosłych uściśnieniem ręki, zapragnąłem zabrać znajomość z działwą, ale zaledwie do niej się zbliżyłem, gdy cała gromadka z chyżością błyskawicy wybiegła z chaty. Zwróciłem się wówczas do chorej kobiety i rzekłem:

— Słyszałem wczoraj wieczorem, że jesteś chorą i przyszedłem cię odwiedzić.

Na te słowa Biały-Byk odpowiedział przez mego tłumacza, imieniem Bohannu (żółt), że z wielką radością wita mię w swej chacie.

— Niestety — dodałem zwracając się znowu do chorej — nie mogę uleczyć cię z choroby, ale pragnę natomiast coś lepszego jeszcze uczynić dla ciebie. Wiesz, że jesteś bardzo chorą i prawdopodobnie umrzesz. Otóż przychodzę otworzyć ci wrota do wiecznego, szczęśliwego życia, które się nigdy nie skończy.

»Widząc, że słowa moje korzystne na obecnych wywarły wrażenie, zacząłem tłumaczyć biednym tym ludziom głównejsze prawdy wiary świętej, starając się dać im jakiegokolwiek pojęcie o Bogu, duchowym przeznaczeniu człowieka i ważności Chrztu św., kiedy skończyłem moją naukę, chora zawołała:

»Ochrzczij mię! — ponieważ zaś stan jej żadnej już niemal nie pozostawiał nadziei, przeto bez wahania spełniłem tę prośbę. Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, Marya, tak bowiem nazwałem pierwszą swą neofitkę, żyje dotąd jeszcze i niekiedy nawet czuje się trochę lepiej, chociaż choroba jej jest nieuleczalną, wycieńczenie zaś coraz bardziej zbliża ją do grobu. Odwiedzam nader często biedną Indyanę i przed dwoma tygodniami, podczas jednej z takich wizyt przekonałem się, że Biały Byk jest potrosze lekarzem.

»Oto, gdy chora dostała nagle kurczów, mąż jej zerwał się z miejsca, wydobyl z ogniska kawał płonącego drzewa i położył go obok nieszczęśliwej, poczem wzięwszy szczyptę jakiegoś nieznanego mi wcale, suszonego ziela, które miał przy sobie zawinięte w kawałek płótna, wsypał je na zarzewie. Gdy z ziela dym wydobywać się zaczął, wówczas stary Indyanin wyciągnął nad niem prawą rękę, poczem wypowiedziawszy kilka niezrozumiałych wyrazów, dotknął tą samą dłonią oczu, nosa, ust i głowy chorej.

»Całej tej ceremonii przyglądałem się spokojnie, po ukończeniu zaś jej, zapytałem Białego Byka, jak się to cudowne nazywa lekarstwo. Indyanin odpowiedział z pewnem zakłopotaniem, że jest to poprostu aromatyczna roślina, dość pospolita w tym kraju.

— A cóż znaczyły wypowiedziane przez ciebie słowa? — ciągnąłem dalej moją indagację.

Indyanin zmięsział się jeszcze bardziej, ale po kilku chwilach milczenia odrzekł:

— I ty w swojej kaplicy czynisz nieraz to samo co ja uczyniłem, to jest sypiesz na rozżarzone węgle trochę jakiegoś proszku, dym zaś ofiarujesz Duchowi mieszkającemu na obłokach.

— Masz słuszość — odparłem — nieraz palę kadzidło na cześć Ducha, który, jak mówisz, mieszka po nad obłokami, ale ty, niestety, składasz ofiary szatanowi. mieszkającemu w krainie ciemności.

Potem wytłumaczywszy mu obszernie ogromną różnicę pomiędzy obu teni ceremoniami, dodałem:

— Czynność twoja jest zabobonna, ty zaś sam musisz zapewne być czarownikiem. Czy sądzisz, że szatan zdoła uzdrowić twą żonę? Jeżeli się dowiem, że się trudnisz podobnemi gusłami, to nigdy więcej do was już nie przyjdę.

»Pocziwy Indyanin obiecał mi zaniechać na zawsze wszelkich zabobonnych praktyk i na poparcie swej obietnicy serdecznie uściśnął mię za rękę. Wogóle jest tutaj mnóstwo czarowników i łożę każdego chorego bywa zwykle obłożone przez tych oszustów«.

Gdy wkrótce potem O. Vasta przybył pewnego razu do indyjskiego obozu, usłyszał ogłuszający dźwięk bębna, któremu towarzyszyła smutna melodia jakiejś pieśni indyjskiej. W pośrodku obozu w nędznym *lepi* czyli namiocie, odbywała się narada sześciu czarowników, którzy po ukończeniu swego konsylium zaśpiewali chórem pieśń bez słów, mającą niby przywrócić zdrowie łatwowiernemu choremu.

Z powodu nader niskiego poziomu moralności i oświaty tego plemienia, praca apostołska napotyka na każdym niemal kroku niesłychane trudności i przeszkody. Jedynym jej wynikiem, osiągnięciem w przeciągu całego roku, był chrzest pewnego umierającego dziecięcia.

»Dałem mu — pisze O. Vasta — imię św. Ignacego i we trzy dni później mały aniołek uleciał do nieba. O, gdybyście wiedzieli, jak biedne i nieszczęśliwe są indyjskie dzieci, które patrząc od kolebki na złe przykłady i słuchając rozmów jak najgorszej treści w dziecięcych już latach, zaprawiają się do złego«.

Zdaje się atoli, że i tu cierpliwa i wytrwała praca pomyślnym uwieńczy się wynikiem, gdyż w parę miesięcy po skreśleniu powyższego listu O. Vasta już donosi, że zdołał nawrócić i ochrzcić 12 najbardziej zatwardziałych Arapahów.

00. Salezianie w Południowej Ameryce. — Roczne sprawozdanie Dom Rua, obecnego przełożonego Salezjanów, jest niewątpliwie najwymowniejszym dowodem postępów, dokonywanych w Ameryce południowej przez członków tego Stowarzyszenia, wstępujących godnie w ślady jego założyciela Dom Bosco.

1) W Meksyku działalność Salezjanów rozpoczęła się od nabycia małego domku, ale w przeciągu roku misjonarze nabyli ogromny kawał gruntu, oraz rozpoczęli budowę rezydencji i szkoły missyjnej, mogącej pomieścić około 500 uczniów. Dziś już warsztaty są w ruchu, do szkoły zaś uczęszcza 250 uczniów miejscowych, oraz tyle prawie przychodnich. Nadto w niedzielę i dni świąteczne kaplica missyjna zapełnia się licznym tłumem pobożnych.

2) W Urugwaju i Brazylii prace apostołskie również szybkim posuwają się krokiem. X. biskup Lasagna, któremu w roku ubiegłym Stolica Apostołska powierzyła tę missyę, domaga się usilnie nowych pracowników, ponieważ misjonarze zamierzają wciągnąć w zakres swej działalności ogromną brazylijską prowincję Matto Grosso, która pod względem religijnym w opłakany dotąd znajdowała się stanie.

3) W Argentynie okropna kryzys finansowa i ciągłe polityczne rozruchy tamują rozwój działalności gorliwych Salezjanów, chociaż z drugiej strony skutkiem tych klęsk publicznych wiele rodzin musiało powierzyć swe dzieci opiece misjonarzy tak, że budynki missyjne z trudnością pomieścić je zdołają.

4) W Patagonii wreszcie X. biskup Cagliero założył w ostatnich czasach dwie nader ważne stacje missyjne w Czubucie (Chubut) i Rawsonie, stolicy Patagonii środkowej. Również pomyślne wiadomości dochodzą z Peru, Chili, Ekwadoru i Nowej Grenady, gdzie Salezianie posiadają także liczne zakłady i rezydencje missyjne. Dnia 30 listopada 1893 r. wyjechało z Turynu, głównego ogniska Salezjanów liczne grono tych zakonników, przeznaczonych do rozmaitych missyj.